

KUŹNICA

Rok V

Łódź, 23 stycznia 1949 r.

Nr 3 (176)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROMAN WERFEL

WIELKOŚĆ LENINA

PRAWDZIWA wielkość trwa. Z upływem lat jej zarysy stają się jeszcze wyraźniejsze, jej znaczenie uwydatnia się coraz bardziej. Z upływem czasu prawdziwa wielkość staje się coraz bardziej oczywista — nawet dla ludzi objętych, nawet dla wrogów.

Wielkość pozorna — mniejsza z tym, sztuczna czy też stworzona przez chwilową koniunkturę — nie wytrzymuje próby czasu. Po dziesięcioleciach z pozornej wielkości pozostają tylko pozółtkie papiery i zwiedle laury.

Wielkość Lenina przeszła zwycięsko próbę czasu. Dwadzieścia pięć lat, które minęły od jego śmierci, tylko bardziej jeszcze uwydatniły całą obłężność jego postaci, całe znaczenie jego dzieła dla ludzkości.

Na czym polega ta wielkość? Gdzie jest ta specyficzna cecha, która odróżnia Lenina od innych przywódców lewicy socjalistycznej jego czasów, gdzie jest ta specyficzna cecha, która czyni go jedynym w jego pokoleniu?

Lenin był wodzem i organizatorem Rewolucji Listopadowej, pierwszej zwycięskiej socjalistycznej rewolucji w świecie. Czy nie na tym polega jego wielkość?

Niewątpliwie tak. Tylko że to nie jest odpowiedź na pytanie. Bo przecież Lenin nie przez przypadek stał się wodzem Listopada. Przecież Lenin przygotowywał ten Listopad, wykuwał partię, którą w Listopadzie poprowadził do zwycięstwa. Jakie szczególne cechy pozwoliły dokonać tego dzieła właśnie jemu — właśnie Włodzimierzowi Iliczowi Uljanowowi?

Lenin był geniuszem. Jego genialna umysłowość pozwoliła mu w sposób niemal nieomylny kierować partią bolszewicką, klasą robotniczą jego kraju, międzynarodowym ruchem robotniczym w najbardziej skomplikowanych, najtrudniejszych warunkach.

Niewątpliwie — tak było. Ale w czym, w jakich konkretnych cechach wyrażała się ta jego genialność? Co odróżniało go konkretnie od tylu innych, którzy jak on chcieli walczyć o zwycięstwo socjalistycznej rewolucji, ale utknęli po drodze, wpadli w takie czy inne pułapki obcej, wrogiej socjalizmowi myśli?

By odpowiedzieć na to pytanie, trzeba, wydaje się nam, sięgnąć głębiej w dzieło ruchu robotniczego.

U początków nowoczesnego ruchu robotniczego stoją dwie wielkie postaci. Autorytet „Manifestu Komunistycznego” — to myśliciele i rewolucjonisci, ściślej mówiąc: myśliciele-rewolucjonisci. Rewolucjonisci myśli i rewolucjonisci czynu, twórcy nowego rewolucyjnego światopoglądu, nowej rewolucyjnej nauki a zarazem budowniczymi rewolucyjnych organizacji robotniczych, które miały wcielić tę naukę w czyn. Długie wyteżone studia ekonomiczne, filozoficzne, historyczne — a równoległe z nimi niezmiernie ważna działalność praktyczna, organizacyjna, masowa i konspiracyjna — oto co wypełniało ich życie. Rewolucja socjalistyczna była dla nich realizacją wniosków wysnutych z długich dociekań, z żmudnych dociekań naukowych, i zarazem uwięzieniem rewolucyjnej pracy całego życia.

Ta nierozdzielna łączność myśli i czynu — oto co znamionuje działalność Marksa i Engelsa. Wyrasta ona z głębokiej wiary w bliskość rewolucyjnych przemian i w nieunikniony ich charakter. Odczuwa się tę wiarę nie tylko w ich dziełach przeznaczonych do druku. Szczególnie dobitnie występuje ona w ich korespondencji w poufnych listach do najbliższych przyjaciół. Chwilami aż wzruszającą jest to czujne wsłuchiwanie się w pierwsze zapowiedzi nowej zbliżającej się burzy, to namiętne zainteresowanie dla każdego zdarzenia, które mogło być tej burzy początkiem.



W. I. Lenin

Takie stanowisko Marksa i Engelsa nie było przypadkowe. Było ono możliwe dzięki temu, że obaj dojrzeli politycznie i ideologicznie w okresie rzeczywistej, realnej burzy dziejowej — w przededniu 1848 r. Wprawdzie bezpośrednie cele wielkich walk ludowych tego okresu były celami burżuazyjno-demokratycznej, nie socjalistycznej rewolucji. Ale rewolucja burżuazyjno-demokratyczna w warunkach daleko idącego rozwarstwienia „ludu” na klasę kapitalistów, nowych wyzyskiwaczy, i na klasę robotniczą, wyzyskiwaną w nowych, kapitalistycznych formach, w warunkach coraz większego zbliżenia burżuazji i szlachty, nowych i starych wyzyskiwaczy — rewolucja burżuazyjno-demokratyczna w takich warunkach mogła stać się preludem do rewolucji proletariackiej. Marks i Engels wierzyli, że tak się stanie, i walczyli o to, by tak się stało.

Aktualność przemian rewolucyjnych w okresie w którym działali — oto, co pozwoliło Marksom i Engelsom utrzymać nierozdzielną łączność między rewolucyjną teorią a rewolucyjną praktyką. Genialność Marksa i Engelsa wyraziła się przede wszystkim w tym, że znaleźli oni rewolucyjne odpowiedzi na pytania, postawione im przez rewolucyjną epokę, że z rewolucyjnej rzeczywistości wyciągnęli wszystkie rewolucyjne wnioski, że potrafili na gruncie tej rzeczywistości stworzyć rewolucyjną teorię i prowadzić konsekwentnie rewolucyjną, proletariacką działalność.

Ruch robotniczy w ostatnich dziesięcioleciach ubiegłego wieku rozwijał się w odmiennych warunkach. Skończyła się — przynajmniej dla Europy Zachodniej i Środkowej — epoka rewolucji burżuazyjno-demokratycznej. Nie dojrzała jeszcze epoka proletariackiej, socjalistycznej rewolucji. Ruch robotniczy — przeciwstawiając się w sposób rewolucyjny kapita-

lizmowi w swych zasadniczych dążeniach i celach — nie stawiał i nie mógł stawiać sobie za cel natychmiastowego obalenia kapitalizmu, natychmiastowej rewolucji proletariackiej. Awanturnicze zapędy anarchizujących czy anarchizujących grup, które usiłowały bawić się w rewolucję w okresie, kiedy dla rewolucji tej brakowało wszystkich obiektywnych przesłanek, zostały odrzucone przez obłężną większość zorganizowanych robotników. Taktyka proletariatu nie mogła być dawną taktyką, taktyką epoki rewolucyjnej burzy, musiała być taktyką nową, taktyką zbierania sił, gromadzenia i szkolenia kadr dla przyszłej burzy, której jeszcze nie było, ale która musiała przyjść.

Lecz w miarę jak barykady roku 1848 a nawet barykady Komuny Paryskiej odchodziły coraz bardziej w przeszłość — coraz więcej działaczy socjalistycznych przestawało zdawać sobie sprawę z konieczności burzy. Coraz więcej było takich, którzy wcale nie życzyli sobie jej przysięcia.

Nie piszemy tu historii ruchu robotniczego. Nie analizujemy przyczyn zjawiska, o którym mowa. Przyczyn takich było kilka: powstawanie nowej warstwy „arystokracji robotniczej”, uprzywilejowanych grup robotniczych w czołowych krajach kapitalistycznych, przenikanie do ruchu robotniczego elementów drobno-mieszczańskich i mieszczańskich, stojących na gruncie burżuazyjnej demokracji, wreszcie planowa akcja burżuazji zmierzająca do skompromowania i podporządkowania sobie ruchu robotniczego. Różny w różnych krajach był udział tych przyczyn w ostatecznym wytworzeniu zjawiska, któremu na imię: socjal-demokratyczne wyrodzenie ruchu robotniczego w Europie Środkowej i Zachodniej. Ale ostateczne wyniki były, w swej zasadniczej treści, wszędzie te same.

Odsunięcie rewolucyjnej perspektywy gdzieś w daleką mglistą przyszłość, negowanie jakiegokolwiek wpływu tej rewolucyjnej perspekty-

Od wszystkich innych teorii socjalistycznych wyróżnia się marksizm doskonałym połączeniem pełnej trzeźwości naukowej w analizie obiektywnego stanu rzeczy i obiektywnego przebiegu ewolucji z najbardziej zdecydowanym uznaniem znaczenia energii rewolucyjnej, rewolucyjnej twórczości, rewolucyjnej inicjatywy mas, jak również oczywiście, poszczególnych jednostek, grup, organizacji, partii, umiających wyczuć i urzeczywistnić łączność z tymi lub innymi klasami.

Lenin

TREŚĆ NUMERU.

- ROMAN WERFEL —
WIELKOŚĆ LENINA
- ADAM WAŻYK —
WIZYTA W KIJOWIE
- WŁODZIMIERZ LENIN —
TEZY ŹRÓDŁA I TRZY CZĘŚCI
SKŁADOWE MARKSIZMU
- JULIUSZ ŻULAWSKI —
KONFLIKTY TEATRALNE
- RYSZARD MATUSZEWSKI —
SZTUKA MAŁYCH FORM CZYLI
O „SPRAWIE” BOROWSKIEGO
- LEOPOLD LEWIN —
PIEŚŃ O ODBUDOWIE
- JERZY MILLER —
NA TAFLI SZKŁA
- ALBERT MALTZ —
NAJSZCZĘŚLIWSZY CZŁOWIEK
NA ŚWIECIE
- ZOFIA LISSA —
TRZY ROZMOWY Z BOLESŁAWEM
WOYTOWICZEM
- SEWERYN POLLAK —
O FRANCISZKU SIEDLECKIM
- ADOLF SOWIŃSKI —
LAUDATOR TEMPORIS ACTI
- SATURNIN DĄBROWSKI —
PODŁOŻE IDEOWE POWIEŚCI
WIEJSKICH KRASZEWSKIEGO
- B. D. —
Z RUCHU WYDAWNICZEGO
- KANDYD —
TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK
- M. —
ANKIETA „LIDOWYCH NOVIN”
- MARIAN MUSZKAT —
ZA CO ZYSKAŁEM
WDZIĘCZNOŚĆ p. GREEN’A?
- PRZEGLĄD PRASY, NOTY

wy na dzień dzisiejszy, zredukowanie polityki robotniczej do targów o drobne ustępstwa w ramach kapitalizmu, przekształcenie ruchu robotniczego w jeszcze jedno ugrupowanie mieszczańskiej demokracji — oto, do czego sprowadza się socjaldemokratyzm w owej epoce. Podkreślamy wyraźnie — w owej epoce, gdyż później socjaldemokratyzm czekała kara o wiele barwniejsza: kariera obrońcy kapitalizmu przed rewolucją proletariacką, kariera giermka burżuazyjnej reakcji, przekreślającej nawet formalną, mieszczańską demokrację, skoro tylko ta demokracja może przynieść jakiś pożytek rewolucyjnemu ruchowi robotniczemu.

W tym okresie, w okresie wyrodzenia nie tyle samego ruchu, co jego grup kierowniczych, powstaje w kierownictwie ruchu osobliwy podział, na „teoretyków” i na „praktyków”, na organizatorów i na ideologów.

Czołowym ideologiem formalnie „ortodoksalnego” marksizmu owej epoki jest Karol Kautsky, mól książkowy nie wychylający głowy poza swe biurko, daleki od ruchu masowego, od rzeczywistej partii, od konkretnej walki klasy robotniczej.

Czołowi praktycy tego okresu — to w rosnącym stopniu ludzie nie tylko nie zajmujący się ideologią, ale gardzący nią w sposób najwyraźniejszy, traktujący ją jako niezbędną przyprawę, którą można zamówić w byle jakim sklepiku.

Jedność teorii i praktyki, znajdującą tak znakomite ucieśnienie w osobach Marksa i Engelsa, zostaje rozdarta, i to rozdarła na długo.

Miało to i musiało mieć fatalne następstwa. Fatalne zarówno dla praktyki, jak dla teorii. Fatalne dla praktyki, gdyż pozabawiona drogowskazą teorii musiała ugrzęznąć w mieszczańskim bagienku. Fatalne dla teorii, gdyż oderwana od żywego ruchu, od praktyki, musiała zasklepić się w powtarzaniu raz już przyjętych formułek, musiała zatracić czujność ideową, wrażliwość na nowe procesy zachodzące w społeczeństwie, musiała przestać być rewolucyjną teorią, drogowskazem rewolucyjnej praktyki

Okazało się to bardzo szybko. Gdzieś na przełomie wieku dziewiętnastego i dwudziestego zaczyna się nowy okres w rozwoju kapitalizmu: okres imperializmu, okres monopolistycznego kapitalizmu, okres panowania trustów, karteli, syndykatów.

Z punktu widzenia naszej analizy ważne tu są dwa momenty.

Okres imperializmu to okres olbrzymich zysków dodatkowych wielkich potęg imperialistycznych, zysków pozwalających im na korumpowanie w o wiele większych rozmiarach części swej klasy robotniczej. Okres imperializmu — to okres, kiedy socjaldemokratyczne wypaczenie ruchu robotniczego przerasta w bezpośrednią ekspozyturę burżuazji w szeregach klasy robotniczej.

Okres imperializmu to zarazem okres, w którym dojrzejają, dochodzą do punktu kulminacyjnego wszystkie przeciwieństwa, właściwe ustrojowi kapitalistycznemu: przeciwieństwa między rozwojem sił

produkcyjnych a pętami, jakie nakładają na ten rozwój kapitalistyczne monopole, przeciwieństwa między magnatami wielkiego kapitału a masami ludowymi ich krajów, przeciwieństwa między krajami imperialistycznymi a olbrzymią większością ludności kuli ziemskiej, ludnością krajów kolonialnych i półkolonialnych, wyzyskiwanych coraz bardziej brutalnie przez imperializm, przeciwieństwa pomiędzy poszczególnymi mocarstwami imperialistycznymi.

To wszystko oznacza: okres imperializmu to okres, w którym znów dojrzejają obiektywne warunki dla rewolucji proletariackiej, to nowy okres burzy dziejowej, u końca której staje obalenie kapitalizmu i zwycięstwo socjalizmu.

Epoka imperializmu czyni rewolucję socjalistyczną możliwą. Ale ta możliwość staje się rzeczywistością dopiero wtedy,

gdy konsekwentnie rewolucyjna klasa społeczna, klasa, która podług słów Marksa, nie może wyzwolić samej siebie, nie wyzwalać zarazem całej ludzkości, jeżeli proletariacki stworzy zorganizowaną siłę prowadzącą najszerze masy wyzyskiwanych i uciskanych do szturmowania na bastiony kapitalizmu. Ta siła — to rewolucyjna partia proletariatu; taka siła — to marksistowskie kierownictwo tej partii.

I tu na tym decydującym odcinku zawiodły stare, socjaldemokratyczne partie robotnicze.

Przełom dziewiętnastego i dwudziestego wieku — okres narodzin imperializmu — to nie tylko okres, kiedy w ruchu robotniczym rozrastają się pozycje prawicy, jawnej ekspozytury burżuazji. Jest to zarazem okres wzrastającej niemocy, wzrastającej degrengolady „oficjalnych” niby marksistów, centrystów. Jest to zarazem okres, kiedy na lewicy europejskiego ruchu robotniczego szamoce się rozpaczliwie garstka uczciwych lewicowców, którzy nie mogą

wyzwolić się z pęt starego socjaldemokratycznego sposobu myślenia, którzy nawet w samym buncie przeciw oficjalnym partiom nie są zdolni do wyjścia poza koncepcję socjaldemokratyzmu.

Co przeciwstawia ta lewica blokowi jawnych ugodowców z coraz szybciej na prawo idącymi centrystami?

Niewątpliwie jedno: szczerą, gorącą wiarę w socjalizm, w rewolucję, szczerą i głęboką nienawiść do kapitalizmu, do imperializmu, do nacjonalizmu, do militarystyki, do wszelkiego wyzysku człowieka przez człowieka, do wszelkiej krzywdy ludzkiej.

To jest dużo, bardzo dużo. To stawia tę lewicę po naszej, czerwonej stronie barykady, to oddziela ją w sposób zasadniczy od zdradzieckiej prawicy i kapitulującego przed jej zdradą, biorącego na siebie haniebną rolę współnika tej zdrady — centrysty.

Ale to jest mało, bardzo mało, jeżeli

(Dalszy ciąg na str. 4)

ADAM WAŻYK

WIZYTA W KIJOWIE

BYŁ to krótki, kilkudniowy wypad, dni szczególnie zapełnione posiedzeniami w sali Rady Najwyższej Ukrainiejskiej ZSRR, gdzie obradował zjazd pisarzy Ukrainy, wizytami u znanych literatów. Znam Kijów. Tym razem widziałem wiekową urodę miasta prawie wyłącznie z auta. Ślady zniszczeń wojennych dawno usunięto, tylko na zrujnowanym Kreszczatiku widać naprzestrzał grzbiety jakichś starych kamienic z ulic sąsiednich. Odbudowa Kreszczatka jest tematem szczególnej ambicji kijowian, rozpisano konkurs na plan odbudowy i rozważa się skrupulatnie ostateczną decyzję. Wspólny wieczór autorski w Operze z pisarzami radzieckimi, wizyta w muzeum partyzanckim, gdzie zgromadzono również pamiątki po polskich oddziałach partyzanckich na Wołyniu, godzina na odnowienie znajomości z przedziwnymi freskami w Soborze Zofii, to wszystko przeżyte jakby jednym tchem wśród zachłannej gościnności gospodarzy, przewinęło się jak film w przyspieszonym tempie. Dla mnie był to film przeplatany przypomnieniami z wielu okoliczności życia. Zbiegły się dawne przyjaźni i znajomości ze Lwowa, z zimy kijowskiej w 1941, z wiosennych dni pod Charkowem 1944, kiedy przyjmowaliśmy wizyty artystów ukraińskich w pociągu wojskowym, wcześniejsze jeszcze spotkania moskiewskie, kazańskie, saratowskie, kiedy zazdrościło się przyjaciółom ukraińskim munduru wojskowego, wreszcie spotkania najświeższej daty — wrocławskie. Byłem wśród starych dobrych znajomych, wspominało się ludzi i sprawy, miasta i klimaty. Nie wspominało się jakoś chwil smutnych, chwil bardzo ciężkich. Widocznie nie sprzyja temu klimat radziecki.

Na zjeździe pisarzy Ukrainy byli goście bułgarscy, Czech Jan Drda, z Polski byliśmy we dwóch z Ryszardem Dobrowolskim. Przyjechali delegaci z wszystkich republik radzieckich. Pisarz jakucki przeleciał samolotem 11 tysięcy kilometrów i ściskając się z nami na bankiecie w Kijowie, doprawdy miał łzy w oczach — wspominał Polaków, którzy pisali pierwsze prace etnograficzne o jego ojczyźnie. Pisarz jakucki — w tym kraju przed rewolucją nikt oprócz zesłańców caratu, Rosjan i Polaków, nie znał alfabetu. A opodał poeta z tego zakątka ziemi, który na wiele stuleci wyprzedził kulturę europejską, wspaniały Gruzyn rycerski starzec, w którego żyłach, zdawało się, płynęło słońce i wino, oświadczył nam po prostu, że czas już odnowić stare przyjaźni. Pisarze Azerbejdżanu, Armenii — nie zdołam wymienić wszystkich — słuchali wersetu Mickiewicza po polsku, jak czegoś bardzo bliskiego. „Oto jest polska mowa”. Cytował to po polsku siwy poeta Rylski, najlepszy tłumacz „Pana Tadeusza” i wyborny znawca mickiewiczowskiej poetyki. Niepewny czystości swojego akcentu, żenował się przy nas jak panienka, ale rąbał odważnie, z jakim młodzieńczym temperamentem! Ci wszyscy siwi ludzie o bardzo aktywnym życiu, starzy pisarze byli z usposobienia bardzo młodzi. Wydało mi się bez przesady, że Pawłowi Tycynie co najmniej osiem lat ubyło od tego czasu, kiedy obchodził swój jubileusz w styczniu 1941 roku i kiedy niespodzianie znalazłem się w jego mieszkaniu kijowskim, w gronie rodziny i bliższych przyjaciół. Kornijczuka i Fadijewa widywałem w wielu okolicznościach i w wielu miastach. Niewyczerpany wigor rozpiętał tych ludzi i miałem wielką ochotę zabawić się w Saint-Beuve'a, opisywać

znajomych pisarzy z wyglądu i obejścia, z nawyków i stylu życia. Szybko zrozumiałem niedorzeczność tego zamysłu. Wpadłem na kilka dni w wirówko życia, temperamentu i humoru, który tak bardzo różni się swoją młodzieńczością od humoru naszych środowisk literackich. To co z początku wydawało mi się cechą osobistą poszczególnych ludzi, ujawniło się wkrótce jako nastrój powszechny, jako rytm życia, właściwy o tyle zawodowi pisarskiemu, o ile zawód ten łączy się z niestanną działalnością wśród ludzi, w świecie rzeczywistym.

Raz jeden zabawić się jednak w Saint-Beuve'a i niech mi to wybaczy poeta i wicepremier Ukrainy, Mikołaj Bażan. Jest to wielki znawca i smakosz swojego rodzinnego miasta. Tę jego słabość i niepospolite zdolności perypatetyczne poznałem już dawno. Pamiętam mroźne styczniowe południe 1941 roku — niewinny spacer doprowadził nas, zajętych rozmową turystyczną, niespodzianie do jakiegoś miejsca, gdzie bez uprzedzenia roztoczyła się cała wspaniałość Dniepru. Zastanawialiśmy się wtedy, jak szeroki i głęboki jest stary Dniepr w tym miejscu. Nie zapytałem go, ilu tu Niemców potonie. Ale bywają chwile, znane wszystkim śmiertelnym, kiedy rozproszone wrażenia, obserwacje, wycucia zagęszczają się i świadomość człowieka otrzymuje gotowy wniosek. Głupcy nazywają to przecuciem. Czulo się wtedy nad Dnieprem daleki zapach tej pożogi, która zalała już Europę i zakradała ukradkiem na Wschód. Było to w roku 1941. Jakoś zupełnie inaczej ugrupowały mi się myśli w grudniu 1948 roku nad Dnieprem, w ciemnej skorupie nocy, w której nie znalazłem ani jednego posępnego ziarna. Dyskretny geniusz tego miejsca, poeta kijowski sprawił, że drugiego dnia pobytu, albo raczej drugiej nocy, — ani spostrzeżliśmy jak i kiedy, zamiast znaleźć się w łóżkach hotelowych, ocknęliśmy się na wzgórzu, skąd widać było archipelag światła, cały bodaj Kijów. Zdało się, że tej pogodnej nocy, kiedy miasto spało, osadziło się we mnie to głębokie przekonanie, czerpane z drobnych obserwacji, z rozmów, z wyczuwanego nastroju ludności, że dokoła mnie dzieje się coś nowego. Byłem w mieście i kraju, który miarowo, ale poznawalnie przechodzi na wyższy szczebel rozwoju.

Nie jest to żadna rewelacja. Mówią o tym statystyki produkcji, które nie dają spać kilkunastu panom w Ameryce. Statystyki mówią o poszczególnych dziedzinach produkcji. Przybysz, który przyjeżdża na kilka dni do jakiegoś kraju, styka się przede wszystkim z konsumpcyjną stroną życia. Wchodzę w Kijowie do wielkich sklepów z wiktuałami, do domów towarowych, widziałem duży asortyment towarów i normalnie ożywiony ruch kupujących. Tak samo było w 1941 roku, ale miałem wrażenie, że nie tak samo. Zmieniło się usposobienie kupujących. Wtedy ludność miała jeszcze w pamięci lata głodu, wyrzeczeń, wojny domowej i pierwszych lat budowy, miała skłonność do robienia zapasów, do kupowania na wyrost. Liczyła się z ewentualnością przerw w transporcie, zakłóceń w produkcji. Teraz, w trzy lata po morderczej wojnie, po głodowaniu okupacyjnym, bo pod hitlerowską okupacją miasta ukraińskie były dosłownie morzone głodem, ludność zaopatruje się w żywność i odzież z absolutną pewnością, że jutro nie zabraknie, przeciwnie, asortyment będzie większy. Wojna była ciężką próbą, próbą

ta wykazała ludziom, że ich przekonanie o wyższości ustroju socjalistycznego nad innym, było całkowicie uzasadnione. Lata powojenne wykazały, że ustrój ten ma taką zdolność regeneracji gospodarczej, jakiej może nawet nie podejrzewał przeciętny człowiek radziecki. Odbudowa gospodarcza odbywała się nie tylko ze zdumiewającą szybkością, ale i trybem bardziej harmonijnym, nie opóźniając dziedzin codziennej konsumpcji. Tutaj chyba tkwi źródło zmieniającego się stosunku do towaru i do spożycia.

Jak można planowo i z dnia na dzień zmieniać tryb i charakter spożycia, widzieliśmy naocznie na drobnych przykładach. Takie same mandarynki, które zachwycały Kazimierza Brandysa w Moskwie, kupowaliśmy w Kijowie i w Brześciu. W Kijowie piiliśmy nowe gatunki ukraińskiego wina. Nie są to próbki; to obfity plon wzmoczonej uprawy. Niepostrzeżenie kraje, w których królowała wódka, zmieniają się w kraje wina. W ciągu kilku dni naszego pobytu byliśmy świadkami podniesienia cen wódki, obniżenia cen szampana. Dwóch żołnierzy jadło obiad na stacji w Brześciu. Naradziła się i kelnerka otworzyła im butelkę szampana, może pierwszą w ich życiu. Nie wiem za czyje zdrowie pili, ale nie dziwiłbym się, gdyby pili za pamięć Mieczysława i za zdrowie Lysenki. Wielka dyskusja biologiczna odbyła się przy widomych dla każdego obywatela sukcesach agrotechniki radzieckiej.

Nie spotkaliśmy człowieka, który by nie znał tej sprawy. W świadomości przeciętnego człowieka jest to jedno z ogniw codziennej walki z przyrodą. Wszyscy znają ognia tej walki; przetrwanie kultur rolnych na nowe tereny, uprawa nowych gatunków, plany ogromnych masowych leśnych, które zmieniają klimat stepowy, plany poprawienia klimatu w każdym poszczególnym kołchozie.

Na zjeździe pisarzy Ukrainy jeden z przemawiających, nie pamiętam, krytyk literacki czy poeta, bo prawo szacowania utworów nie jest tu wyłącznym przywilejem krytyków, mówił o powieści, w której występuje były oficer frontowy, pułkownik, pełniący po wojnie funkcje przewodniczącego kołchozu. Krytyk zarzucał pisarzowi, że nie dał tej postaci właściwego pokroju. Przytaczał przy tej okazji przykłady z życia. Wytrząsał nazwiska jak z reki. Podawał rejon, nazwy kołchozów, którymi kierują byli oficerowie frontowi. Przypomniałem sobie, jak zima 1944 roku, kiedy kwaterowałem na wsi na Smoleńszczyźnie, gospodyni kołchozniczka pokazywała mi fotografię swojego brata, który był na froncie. Miała słaby wzrok, więc prosiła, abym polczył ile też gwiazdek ma już na epoletach. Powiedziałem jej, że jest majorem. Tego się właśnie spodziewała, bo wierzyła w jego zdolności. Był to jeden z codziennych wypadków tego normalnego w Związku Radzieckim zjawiska, który nazywamy awansem społecznym. Z przemówienia poety czy krytyka na zjeździe pisarzy Ukrainy domyśliłem się dalszego ciągu tego zjawiska. Wojna była szkołą organizacji, wielką szkołą kadrow, ludzie wrócili z wojny z bardziej wyrobioną umiejętnością organizacji i przenieśli tę wiedzę do warsztatów pracy, a przede wszystkim do gospodarki rolnej. Każdy, kto stykał się z gospodarką kołchozową, wie doskonale, jak wiele zależy od kadrow ludzkich, od umiejętności organizowania

pracy. Bez podniesienia tych kwalifikacji ludzkich nie byłoby możliwe powojenne sukcesy rolnictwa i agrotechniki radzieckiej. Krytyk nie mówił o tym, były to bowiem zjawiska oczywiste dla wszystkich obecnych na sali, z wyjątkiem kilku gości zagranicznych. Ilustracja tych zjawisk nie jest zadaniem literatury. Zadaniem literatury tak, jak ją pojmują w Związku Radzieckim, jest ukazywanie człowieka, jego zmian i rozwoju na tle tych zjawisk.

Ucho czujne na zmiany życia, oko wpatrzone w perspektywę rozwojową — to było głównym motywem rozważań na zjeździe pisarzy Ukrainy. Podał jeden z licznych przykładów. Wszystkie inne tak samo łączy się bezpośrednio z całym systemem unerwienia życia radzieckiego. Zbieżność z życiem była złożona u podstaw tej dyskusji jako naczelna zasada. Konkretnie zagadnienia, omawiane na zjeździe, wymagałyby więc od czytelników polskich choćby pobieżnej znajomości dzisiejszego życia i dzisiejszej literatury ukraińskiej, ale co uderzało mnie w ogólniejszą atmosferę zjazdu, w tonację wypowiedzianych myśli, to chyba ta sama świadomość miarowego, wyraźnego przechodzenia całego życia gospodarczego i kulturalnego na wyższy szczebel rozwoju.

W gmachu, gdzie odbywały się narady, w salach Rady Najwyższej stoją kopie rzeźb antycznych. Gmach ten zbudowano na krótko przed wojną. Na pewno pierwsi delegaci ludności robotniczo — chłopskiej, mającej gipsowy posąg Apollina, nie patrzyli nań okiem Winkelmann'a czy Waltera Patera. Gipsowy posąg może poczękać, posągi mają czas, ale nie stoją w tym gmachu nadaremnie. Są wskaźnikami tego typu kultury, po której w rozmaitych formach narodowych dąży się przez socjalizm. Dzisiejszego człowieka radzieckiego wychowała dziesięć latka. Następna generacja wychowa już szkoła o rozszerzonych podstawach kultury klasycznej, o większym zakresie nauk humanistycznych. Ale nie będzie przedziału między generacjami — dorosli dokształcają się, aby dosłuować do młodszych. Urzędnik transportu kolejowego, z którym spędziłem kilkanaście godzin w pociągu, opowiadał nam, jak nauczyciel przychodzi do niego do domu i przygotowuje go do egzaminów. Kto jeździł dawniej pociągami w Związku Radzieckim, mógł znaleźć w nich kopalnie życiorysów, nadających się do powieści o awansie społecznym. Każdy podróżny mógł mu opowiedzieć o przedziwnych kolejach swojego życia, jak od pastuszka doszedł do nauk medycznych, jak z bezdomnego chłopca wyrósł na budowniczego maszyn. W ostatniej podróży powojennej usłyszałem, jak się dokształcają w swojej dziedzinie i poza nią. Opętany kraj, znów wszyscy się czegoś uczą. Pogodni, opętany wcale się nie uczą. Pogodni, opętany szkołę, ale mówią wyraźnie, że w każdej działalności wzrastają wymagania stawiane ludziom, a równocześnie grzechem, śmiertelnym grzechem przeciwko kulturze byłoby zasklepienie w kręgu swojej specjalności.

Posągi mają czas, znają swoją godzinę, ale już dzisiaj posągi przemawiają. Chcemy wysokiej i jeszcze wyższej techniki, ale nie chcemy — mówią — człowieka technicznego, nie chcemy ludzi połowicznych, chcemy pełni, harmonii rozwoju, wszechstronności.

Adam Ważyk

W. I. LENIN

Trzy źródła i trzy części składowe marksizmu

Nauka Marksa wzbudza w całym świecie cywilizowanym olbrzymią wrogość i nienawiść całej nauki burżuazyjnej (i urzędowej, i liberalnej), która uważa marksizm za pewnego rodzaju „szkodliwą sektę”. Innego stosunku nie można się zresztą spodziewać, ponieważ w społeczeństwie zbudowanym na walce klasowej nie może być „bezboskiej” nauki społecznej. Tak czy inaczej cała nauka urzędowa i liberalna broni niewolnictwa najemnego, marksizm zaś wypowiedział temu niewolnictwu bezlitosną walkę. Spodziewać się bezstronnej nauki w społeczeństwie najemnego niewolnictwa — to równie głupiotka naiwność, jak oczekiwać bezstronności fabrykantów w sprawie, czy nie należy zwiększyć płacy robotnikom zmniejszający zysk kapitału.

Lecz nie dość na tym. Historia filozofii i historia nauki wykazują z zupełną jasnością, że marksizm nie ma nic wspólnego z „sekcjarstwem” w sensie jakiejś zamkniętej w sobie, skostniałej nauki, powstałej na uboczu od głównych szlaków rozwojowych cywilizacji światowej. Przeciwnie, cała genialność Marksa na tym właśnie polega, że dał on odpowiedź na pytania, które postawiła już postępową myśl ludzkości. Nauka jego powstała jako prosta i bezpośrednia kontynuacja nauki najwybitniejszych przedstawicieli filozofii, ekonomii politycznej i socjalizmu.

Nauka Marksa jest wszechpotężna, ponieważ jest słuszna. Jest pełna i harmonijna, daje bowiem ludziom jednolity światopogląd, nie dający się pogodzić z żadnymi przesadami, z żadną reakcją, z żadną obroną ucisku burżuazyjnego. Jest ona prawowitym spadkobiercą najlepszego, co ludzkość stworzyła w XIX wieku w postaci filozofii niemieckiej, angielskiej ekonomii politycznej, socjalizmu francuskiego.

Tym trzem źródłom stanowiącym razem trzy części składowe marksizmu poświęćmy nieco uwagi.

I

Filozofią marksizmu jest materializm. W ciągu całej najnowszej historii Europy, a zwłaszcza w końcu XVIII wieku we Francji gdzie rozegrała się decydująca bitwa przeciw wszelkim rupieciami średniowiecza, przeciw feudalizmowi w instytucjach i w ideach*, materializm okazał się jedyną konsekwentną filozofią, wierną wszystkim zdobyciom nauk przyrodniczych, wrogą przesadom, świętoszkostwu itp. Toteż wrogowie demokracji starali się wszelkimi siłami „obalić”, podważyć, oszkalować materializm i bronili różnych form idealizmu filozoficznego, który tak czy inaczej zawsze sprowadza się do obrony lub popierania religii.

Marks i Engels w sposób jak najbardziej zdecydowany bronili materializmu filozoficznego i niejednokrotnie wyjaśniali głęboką błędność wszelkich odchyśleń od tej podstawy. Najbardziej jasno i szczegółowo poglądy ich wyłożone zostały w utworach Engelsa: „Ludwik Feuerbach” i „Anti-Dühring”, które — podobnie jak „Manifest Komunistyczny” — są podręcznikami dla każdego świadomego robotnika.

Marks nie zatrzymał się na materializmie XVIII wieku i posunął filozofię na przód. Wzbogacił ją zdobyciami niemieckiej filozofii klasycznej, zwłaszcza systemu Hegla, który to system z kolei doprowadził do materializmu Feuerbacha. Główną z tych zdobyczy jest dialektyka, tj. nauka o rozwoju w jego najbardziej wszechstronnej, głębokiej i wolnej od jednostronności postaci, nauka o względności wiedzy ludzkiej, dającej nam odbicie wiecznej rozwijającej się materii. Najnowsze odkrycia przyrodnicze — rad, elektryczność, przekształcanie się pierwiastków — znakomicie potwierdziły materializm dialektyczny Marksa, wbrew naukom filozofów burżuazyjnych z ich „nowymi” nawrotami do starożytności i zgnitego idealizmu.

Marks pogłębiając i rozwijając materializm filozoficzny doprowadził go do końca, rozszerzył jego poznanie przyrody na poznanie społeczeństwa ludzkiego. Olbrzymią zdobyczą myśli naukowej stał się materializm historyczny Marksa. Chaos i dowolność, które panowały dotąd w poglądach na historię i politykę, zostały zastąpione przez zdumiewająco jednolitą i harmonijną teorię naukową, wskazującą, jak z jednego ustroju życia społecznego, wskutek wzrostu sił wytwórczych, rozwija się inny, wyższy — z feudalizmu na przykład wyrasta kapitalizm.

* Mowa tu o francuskiej rewolucji burżuazyjnej (1789—1793 r.) — Red.

Zupełnie tak samo jak poznanie człowieka odzwierciedla niezależnie od niego istniejącą przyrodę, tj. rozwijającą się materię, tak też poznanie społeczne człowieka (tj. różne poglądy i nauki filozoficzne, religijne, polityczne itp.) odzwierciedla ustrój ekonomiczny społeczeństwa. Instytucje polityczne są nadbudową na podłożu ekonomicznym. Widzimy na przykład, jak różne formy polityczne współczesnych państw europejskich służą wzmocnieniu panowania burżuazji nad proletariatem.

Filozofia Marksa jest to zakończony materializm filozoficzny, który dał ludzkości — a zwłaszcza klasie robotniczej — wielkie narzędzia poznania.

II

Uznawszy, że ustrój ekonomiczny jest podłożem, na którym wznosi się nadbudowa polityczna, Marks najwięcej uwagi poświęcił zbadaniu tego ustroju ekonomicznego. Główna praca Marksa — „Kapitał” — poświęcona jest zbadaniu ekonomicznego ustroju współczesnego, tj. kapitalistycznego społeczeństwa.

Klasyczna ekonomia polityczna przed Marksem ukształtowała się w Anglii — w najbardziej rozwiniętym kraju kapitalistycznym. Adam Smith i Dawid Ricardo, badając ustrój ekonomiczny, dali początek opartej na pracy teorii wartości. Marks kontynuował ich dzieło. Ścisłe uzasadnił i konsekwentnie rozwinął tę teorię. Wykazał, że wartość każdego towaru określa się przez ilość społecznie niezbędnego czasu pracy, zużytego na wytworzenie towaru.

Tam, gdzie ekonomiści burżuazyjni widzieli stosunek między rzeczami (wymiana towaru na towar), Marks odkrył stosunek między ludźmi. Wymiana towarów wyraża związek pomiędzy poszczególnymi wytwórcami za pośrednictwem rynku. Pieńki oznaczają, że związek ten staje się coraz ściślejszy, zespalać nierozdzielnie całe życie gospodarce poszczególnych wytwórców w jedną całość. Kapitał oznacza dalszy rozwój tego związku: towarem staje się siła robocza człowieka. Robotnik najemny sprzedaje swoją siłę roboczą posiadaczowi ziemi, fabryk, narzędzi pracy. Jedną część dnia robotnik zużywa na to, by pokryć wydatki na utrzymanie swoje i swojej rodziny (płaca zarobkowa), a w ciągu drugiej części dnia robotnik pracuje za darmo, tworząc wartość dodatkową dla kapitalisty, źródło zysku, źródło bogactwa klasy kapitalistów.

Nauka o wartości dodatkowej jest kamieniem węgielnym teorii ekonomicznej Marksa.

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

KONFLIKTY TEATRALNE

TAM, gdzie sprawa przebudowy społecznej, planów gospodarczych, oświaty, kultury — staje się sprawą tak głęboko powszechną, tam też wszelkie zagadnienia sztuki łączy ciasne elitarnie obręcze, przestają być przedmiotem wyłącznie artystycznego sporu „wtajemniczonych”. Konflikty w tej dziedzinie stają się automatycznie konfliktami o szerokim sensie społecznym. Konflikty te wiążą się nierozdzielnie ze społeczną, a więc i polityczną stroną zagadnienia, a właściwie — mówiąc prościej — z niej wynikają.

Toteż i takie zagadnienie, jak sprawa teatru z tkwiącymi w niej konfliktami — jest sprawą sięgającą daleko poza sam teatr.

NA DNIĘ POLEMIKI TEATRALNEJ

W teatrach dzisiejszych — w większości swej opartych jeszcze niestety na utartych szablonach teatru mieszczańskiego — coraz wyraźniej wyłamyują się z tych szablonów dwa nurty, dwie tendencje odnoszące się do charakteru widowiska teatralnego i próbujące — każda na swój sposób — teatr dzisiejszy „uwspółcześnić”.

Jedną z tych koncepcji — to koncepcja teatru monumentalnego, pompowanego w ten sposób, aby produkowane przezeń widowiska pociągały jaknajbardziej widownię swoją barwną atrakcyjnością zewnętrzną i poprzez te atrakcyjności przybliżały masowego widza do kulturalnie i społecznie pozytywnych treści. Teatr taki dąży do budowania widowisk technicznie wielkich, pełnych plastycznego rozmachu,

Kapitał, stworzony pracą robotnika, gnębi robotnika rujnąjąc drobnych posiadaczy i stwarzając armię bezrobotnych. W przemyśle zwycięstwo wielkiej wytwórczości widoczne jest od razu, lecz w rolnictwie widzimy to samo zjawisko: przewaga wielkiego rolnictwa kapitalistycznego zwiększa się, wzrasta zastosowanie maszyn, gospodarstwo chłopskie wpada w sieci kapitału pieniężnego, upada i rujnuje się pod brzemieniem zacofanej techniki. Formy upadku drobnej wytwórczości w rolnictwie są inne, ale sam jej upadek jest faktem niewątpliwym.

Zwyciężając drobną wytwórczość kapitał doprowadza do zwiększenia wydajności pracy i powstania monopolistycznego położenia związków największych kapitalistów. Sama wytwórczość staje się coraz bardziej uspołeczniona, jednocząc setki tysięcy i miliony robotników w usystematyzowany organizm gospodarczy — produkt zaś wspólnej pracy przywłaszcza sobie garstka kapitalistów. Wzrasta anarchia wytwórczości, kryzysy, wściekła pogoń za rynkiem, niepewność bytu dla mas ludności.

Zwiększając zależność robotników od kapitału ustrój kapitalistyczny stwarza wielką potęgę pracy zreszowanej.

Marks zbadał rozwój kapitalizmu od pierwszych zaczątków gospodarki towarowej, od prostej wymiany aż do jego form najwyższych, do wielkiej wytwórczości.

I doświadczenie wszystkich krajów kapitalistycznych, zarówno starych jak i nowych, wykazuje rokrocznie pogłębienie coraz większej liczbie robotników słuszność tej nauki Marksa.

Kapitalizm zwyciężył na całym świecie, ale zwycięstwo to jest jedynie wstępem do zwycięstwa pracy nad kapitałem.

III

Kiedy obalony został ustrój feudalny i przyszło na świat „wolne” społeczeństwo kapitalistyczne — od razu wyszło na jaw, że wolność ta oznacza nowy system ucisku i wyzysku mas pracujących. Natychmiast zaczęły powstawać różne nauki socjalistyczne, będące odbiciem tego ucisku i protestem przeciwko niemu. Ale socjalizm pierwotny był socjalizmem utopijnym. Krytykował społeczeństwo kapitalistyczne, potępiał je, przeklinał, marzył o jego obaleniu, fantazjował o lepszym ustroju, przekonywał bogatych o niemoralności wyzysku.

Ale socjalizm utopijny nie mógł wskazać rzeczywistego wyjścia. Nie umiał ani wyjaśnić istoty niewolnictwa najemnego przy kapitalizmie, ani odkryć praw jego

rozwoju, ani znaleźć tej siły społecznej, która zdolna jest stać się twórcą nowego społeczeństwa.

Tymczasem burzliwe rewolucje, które towarzyszyły upadkowi feudalizmu, pańszczyzny, wszędzie w Europie, a zwłaszcza we Francji, w sposób coraz bardziej pogłębiony ujawniały walkę klas jako podstawę całego rozwoju i jego siłę napędową.

Ani jedno zwycięstwo wolności politycznej nad klasą feudałów nie zostało wywalczone bez zaciekłego oporu. Ani jeden kraj kapitalistyczny nie ukształtował się na mniej lub więcej swobodnej podstawie demokratycznej, bez walki na śmierć i życie między różnymi klasami społeczeństwa kapitalistycznego.

Genialność Marksa polega na tym, że wcześniej od innych potrafił wysnuć stąd i rozwinąć konsekwentnie wniosek, którego uczyć dzieje całego świata. Wniosek ten — to nauka o walce klasowej.

Ludzie zawsze byli i zawsze będą głupiotkami ofiarami oszustwa i oszukiwania samych siebie w polityce, dopóki nie nauczą się pod wszelkimi moralnymi, religijnymi, politycznymi, społecznymi frazesami, oświadczeniami, obietnicami odnajdywać interesów tych lub innych klas. Zwolennicy reform i ulepszeń zawsze będą wprowadzani w pole przez obrońców przeszłości, dopóki nie zrozumieją, że każda stara instytucja, choćby się wydawała czymś najbardziej dziwnym i zgnitym, utrzymuje się siłami tych lub innych klas panujących. Dla złamania zaś oporu tych klas istnieje tylko jeden środek: w samym otaczającym nas społeczeństwie znaleźć, uświadomić i zorganizować do walki takie siły, które mogą — i ze względu na swoje położenie społeczne muszą stworzyć siłę, zdolną do obalenia starego porządku i utworzenia nowego.

Tylko materializm filozoficzny Marksa wskazał proletariatu wyjście z niewoli duchowej, w której wegetowały dotychczas wszystkie klasy uciskane. Tylko teoria ekonomiczna Marksa wyjaśniła rzeczywiste położenie proletariatu w ogólnym ustroju kapitalizmu.

Na całym świecie, od Afryki do Japonii i od Szwecji do Afryki południowej, mnożą się samodzielne organizacje proletariatu. Uświadamia się on i wychowuje prowadząc swą walkę klasową, wyzbywa się przesądów społeczeństwa burżuazyjnego, zwiiera się coraz mocniej i uczy się oceniać miarę swych powodzeń, hartuje swe siły i rośnie niepowstrzymanie.

W. I. Lenin.

Marzec, 1913.

sai: „...Teatr, który będzie rozwiązywał lub stawiał współczesne zagadnienia polityczne czy obyczajowe, jeżeli ma być teatrem wartościowym, musi być przede wszystkim teatrem intelektualnym... W teatrze o treściach intelektualizowanych, tekstowi sztuki i intencjom sztuki musi być podporządkowany cały ten aparat, który myśli nadaje głos“.

Polemika ta napewno nie jest jeszcze zakończona, sprawa napewno pozostała jeszcze otwarta. Ale zupełnie oczywista jest natomiast wspólna baza tych różnych koncepcji i tych polemik, oczywiste jest ich wspólne „dno“. Tą bazą, z której wyrastają, jest sprawa postulowanego i oczekiwanego typu widowni.

ORGANIZACJA NOWEJ WIDOWNI

Przebudowa społeczna i wynikające z niej cele polityki kulturalnej wiążą się bezpośrednio także i ze składem społecznym widowni teatralnej. Problem upowszechnienia kultury w szeregach klasy robotniczej rysuje nam przed oczyma postulowany charakter tej widowni, której mamy wszelkie podstawy oczekiwać, dla której budujemy koncepcje teatru współczesnego, ale która nazbyt powoli przekształca ten swój charakter. W rezultacie — nowatorzy teatru, porzucając złe tradycje teatru mieszczańskiego, stają wobec widowni w dużej mierze jeszcze z tymi tradycjami związanej, widowni mieszczańskiej, ideologicznie niechętniej — podczas gdy publiczność robotnicza, z którą nowatorskie tendencje teatru są tak silnie i tak realnie związane, ciągle nie jest jeszcze dostatecznie stałym i przeważającym szale elementem widowni.

Spośród ogromnych dziś zadań polityki kulturalnej — dwa są bezsprzecznie najważniejsze, najbardziej odpowiedzialne i najpilniejsze: organizacja czytelnictwa i organizacja widowni teatralnej. Chodzi nie tylko o konieczny nawyk czytania książki, ale jednocześnie i o to, aby książka docierała wszędzie, stała się łatwo osiągalna. To samo zagadnienie przy organizowaniu widowni: aby chodzenie do teatru stało się nawykiem robotnika — teatr musi być w tym okresie przejściowym szczególnie łatwo osiągalny.

Teatry najbardziej nowatorskie obniżają o 50 a nawet niektóre o 75 procent ceny biletów dla publiczności robotniczej. Będzie to jednak zawsze posunięciem zawieszonym w próżni, jeżeli jednocześnie referaty kulturalne związków zawodowych i kół partyjnych — których zadaniem jest skuteczne propagowanie i organizowanie wypraw do teatru — będą działały nieudolnie, albo w ogóle nie będą działały wcale.

Sprawa znalazła się niemal w martwym punkcie. Wypełnianie widowni tą publicznością, jakiej teatry nowatorskie oczekują — ciągle jeszcze jest wynikiem raczej okolicznościowej, dorywczej akcji związków zawodowych czy kół partyjnych (a najczęściej samej dyrekcji teatru), niż akcji stałej, która by w sposób ciągły i dzięki temu rzeczywiście skuteczny rozwijała potrzeby kulturalne wśród mas robotniczych. Ten stan rzeczy musi znaleźć jaknajprędzej lepsze, niż dotychczas, rozwiązanie organizacyjne. Poza gorliwszym propagowaniem teatru — powstawać powinny może specjalne fundusze teatralne przy związkach zawodowych i kółach partyjnych, które by umożliwiała w okresie przejściowym zupełnie bezpłatne uczęszczanie do teatrów.

Tak czy inaczej — sprawa organizacji nowej widowni musi być załatwiona, jeżeli nowatorska inwencja i nowatorskie zadania najlepszych naszych teatrów nie mają ulec nagłemu i gwałtownemu zahamowaniu.

KŁOPOTY Z REPERTUAREM

Cała sprawa skrupia się oczywiście w dotkliwy sposób na repertuarze teatru nowatorskiego. Najlepsze nawet, najambitniejsze artystycznie i najbardziej postępowe ideologicznie zamierzenia sezonu muszą się załamywać, gdy nie są poparte przez tę publiczność, na którą liczą, gdy zdane pozostają w zbyt dużej mierze na publiczność drobnomieszczańską, której jedyną wartością jest nawyk chodzenia do teatru przy całej jej tepocie artystycznej i przy jej wstecznym poglądzie na świat, wrogim każdej myśli społecznie postępowej.

W tej sytuacji teatrom zagrażać będzie zawsze droga kompromisów i oportunizmu. Zagrażać będzie gospodarzom konieczność nawracania do repertuaru „kasowego“ z punktu widzenia gustów tej publiczności drobnomieszczańskiej. Każda natomiast pozycja — pozycja naprawdę war-

tościowa, pozycja zaplanowana dla widza nowego, z niezaprzeczoną świeżością pragnącego sztuki, świadomego klasowo i politycznie — zbyt łatwo zawiśnąć może w próżni, nie spełnić swego ważnego zadania.

A tymczasem planowanie jaknajbardziej wartościowego repertuaru nie tylko nie powinno wtrącać teatru w jakiegokolwiek trudności, ale przeciwnie — przenikać musi coraz głębiej wszystkie sceny polskie, stanowiąc poważny element ogólnej polityki kulturalnej.

idzie o podolanie zadaniom nowego, rewolucyjnego okresu, jeżeli idzie o to, by stanąć na czele wielkiej fali rewolucyjnej.

Co w tej dziedzinie ma do powiedzenia rewolucyjna lewica zachodnio-europejskich partii socjal-demokratycznych?

Niemal że nie, próżno szukalibyśmy u kogolwiek z przedstawicieli tej lewicy jasnej koncepcji, kto tę rewolucję ma przeprowadzić, jak się ona ma dokonać, na jakich siłach się oprzeć. W gruncie rzeczy — rewolucja proletariacka, obalenie kapitalizmu pozostaje u nich odległym mitem, któremu dochowuje się wierności, dla którego gotowym się jest poświęcić krew i życie, ale przecież — mitem, nie związanym konkretnie z codzienną walką, z codzienną pracą partii.

Co gorsza: oportunistyczne i fałszywe wypaczenia, marksizmu, pochodzące od prawicy czy od centrystów, przedstawiciele tej lewicy przyjmują nieraz za swoje, ozdabiając je tylko czerwonymi szarfami rewolucyjnej terminologii i podnosząc je do godności rewolucyjnej, marksistowskiej cnoty.

Tak ciasno — cechowe zamknięcie się w ramach samej tylko klasy robotniczej, wyrzeczenie się wszelkich sprzymierzeńców w walce z burżuazją, wyrastające pierwotnie z zaniku rewolucyjnej perspektywy u centrystów i prawicowców, zjawia się znowu u lewicy, tylko że pod rewolucyjnym rzekomo szyldem czysto klasowej polityki odżegnanie się od wszelkiej współpracy z drobnomieszczaństwem. Taka niby, „rewolucyjna“ teoria przekreśla rolę proletariatu i jego partii jako wodza wszystkich wyzyskiwanych i gniebionych, uniemożliwia proletariatu zmobilizowanie najszerzych mas ludowych do walki z kapitalizmem.

Tak, pierwotnie właściwe prawicy idealizowanie prymitywnego, spontanicznego, niezorganizowanego i nieświadomego własnych celów ruchu masowego staje się oficjalną teorią lewicy, która znalazła się w wyraźnej mniejszości wewnątrz organizacji, wiąże właśnie w tym spontanicznym ruchem swe nadzieje na złamanie przewagi prawicy. Nadzieje fałszywe, gdyż organizacja prawicowej, ugodowej, burżuazyjnej przeciwwstawiać można jedynie drugą organizację, rewolucyjną, marksistowską, konsekwentnie proletariacką, organizację, która podejmie z prawicą walkę o kierownictwo w ruchu masowym i walkę tę wygra.

Przykładów tych można mnożyć wiele. Wszystkie one sprowadzają się do jednego faktu: zachodnio-europejska lewica socjal-demokratyczna w okresie przed pierwszą wojną światową nawet w swym proteście przeciw zdradzie prawicy nie umie wyrwać się z zakłętego kregu socjal-demokratyzmu, z niewoli koncepcji odzwierciedlających okres niedojrzałości ruchu robotniczego.

Nie umie uwolnić się od tych koncepcji, choć warunki, w jakich rozwijał się ruch, uległy tymczasem zasadniczej zmianie i stawały już przed nim ponownie w całej rozciągłości rewolucyjne zadania, zadania obalenia kapitalizmu.

Czego nie umiała dokonać socjal-demokratyczna lewica Zachodu, tego dokonała partia bolszewików, partia Włodzimierza Lenina. Dokonała — pod wodzą Lenina, na wiele lat przed Listopadem, w uporczywej walce toczony w ciągu dwóch z górą dekad.

Listopad nie był genialną improwizacją. Był wynikiem przemyślanej koncepcji rewolucji, był wynikiem wyrastającej z tej przemyślanej koncepcji wieloletniej pracy politycznej i organizacyjnej. Koncepcji i pracy przede wszystkim Włodzimierza Lenina.

Gdy patrzymy dziś na działalność Włodzimierza Lenina, zdumiewa nas jej niezrównana w swej precyzyjności celowość w każdym stadium walki, ciągle narastające napięcie, ustawicznie rosnąca potęga lotu.

Bitwa jedna — o partię. Czy partia ma iść w ślad za spontanicznymi, ekonomicz-

AKTUALIZACJA SPORÓW

Tak to zagadnienie dobrze przemyślanej i skutecznie przeprowadzonej organizacji nowej widowni — jest podstawowym warunkiem przyszłości teatru, jego postępowego charakteru, jego nowatorskiego rozmachu. Nie ma przy tym nic sztucznego w tych organizacyjnych zadaniach, gdyż potencjalnie ta nowa widownia istnieje. I kiedy w dominującym już procencie wypelni teatry — głęboko twórcze spory

między bardziej „widowską“ czy też bardziej „intelektualną“ koncepcją teatru nabiorą żywszych kolorów. Okaze się wtedy w sposób dobitniejszy i pełniej dowodny, kto tu ma większą rację, czy pogląd w swej realizacji wiąże scenę z widownią bliżej, głębiej i z lepszym pożytkiem dla kultury nowego czasu.

Narazie jednak konflikt najpilniejszy do uregulowania — istnieje poza sceną.

Juliusz Żuławski

WIELKOŚĆ LENINA

(dokończenie ze str. 2)

nymi walkami klasy robotniczej — czy też ma nieść przed klasą robotniczą sztandar klasowej świadomości w najszerzym tego słowa znaczeniu, sztandar walki politycznej, walki o obalenie caratu? Czy partia ma być luźnym zlepkiem wszelkich organizacji, organizacyjek i po prostu grup sympatyków — czy też ma być zwartym, zahartowanym, bojowym oddziałem przodującym, awangardą rewolucyjnego proletariatu?

Przez półtę — dla filistrów — karty dawnego sporu z „ekonomistami“ czy też słynnego sporu o paragraf pierwszy statutu partii przelewa się żywa, czerwona krew aktualności. To przecież walka o stworzenie partii, tej podstawy, bez której nie byłoby Listopada.

Bitwa inna — o sprzymierzeńców. Czy partia ma popierać walkę chłopską, czy ma sprzymierzyć się z walczącymi o wolność narodami ujarzmlonymi czy ma do prowadzić milionowe masy ludowe do walki z kapitalizmem?

Stare dzieje? Scholastyczne dyskusje? Te „scholastyczne dyskusje“, z których sztychli filistrzy zachodnio-europejskiej socjal-demokracji, wyłudają się w Listopadzie burzą nowej „wojny chłopskiej“, która wesprze miejską, robotniczą Komunię. W tych rzekomo scholastycznych dyskusjach, gorszących niektórych „czystych“ pseudolewicowców, Włodzimierz Lenin walczy o sojusz robotniczo-chłopski, który legnie u podstaw pierwszej w świecie dyktatury proletariatu, walczy o sojusz proletariatu rosyjskiego z narodami ujarzmlonymi przez carat, o sojusz, który zjednoczy pod czerwonym sztandarem socjalizmu radzieckiego „narod stu narodów“.

Bitwa dalsza: o stosunek do imperializmu. Z poza troskliwie, systematycznie, pedantycznie gromadzonych kolumn cyfr wyrasta konieczność rewolucji proletariackiej. Kiedy Lenin w początkach pierwszej wojny światowej rzuca hasło „wojna wojnie“, kieruje nim nie tylko słuszną nienawiść do imperialistów prowokujących straszliwy przelew krwi — nienawiść jakże łatwo wypaczona w sentymalny, drobnomieszczański pacyzm. Kieruje nim zrozumienie doniosłości przeżywanego chwili — narodzin światowej rewolucji proletariackiej. Z jakim politowaniem musieli spoglądać pseudorewolucyjni filistrzy z szwajcarskiej partii socjalistycznej na tego emigranta, który, mając za sobą poparcie nielegalnej organizacji na pewno mniejszej liczebnie od ich własnej partii, zapowiadał zwycięstwo rewolucji nad caratem wiadającym olbrzymimi potęgami Europy i Azji!

Można by wyliczać tych bitew jeszcze wiele. Z okresu przed Listopadem i z okresu radzieckiego. Nie ma na to miejsca w publicystycznym artykule. Te, które wymienialiśmy, wymienialiśmy dla przykładu. Dla wykazania, że w działalności Lenina, w jego pracy myślowej, w całym jego dziele wszystko wiąże się z sobą, wszystko jest jakby z jednej bryły, wszystko jest nastawione na jeden naczelny cel: na rewolucję proletariacką, na jej zwycięstwo.

Z nieomylnym instynktem wyczuwał wspaniały umysł Włodzimierza Lenina, co może służyć sprawie rewolucji, sprawie ludu, Wyczuwał — w dziedzinie teorii i w dziedzinie pracy praktycznej. Właśnie to nastawienie na czyn, na rewolucję, na zdobycie władzy odbudowało u Lenina — tak jak stworzyło ją u Karola Marksa i u Fryderyka Engelsa — jedność między teorią a praktyką, zagubioną przez socjal-demokratów.

Włodzimierz Lenin potrafił w nowej sytuacji rewolucyjnej znaleźć stawiane mu przez epokę odpowiedzi równie rewolucyjne i równie precyzyjne jak Karol Marks i Fryderyk Engels uczynili to w swojej dobie. Potrafił tak samo jak oni wyciągnąć wszystkie rewolucyjne wnioski z rewolucyjnej rzeczywistości, rozwinąć rewo-

lucyjną teorię marksizmu zgodnie z wymogami nowej doby i oprzeć teorię konsekwentnie na rewolucyjną proletariacką działalność.

Na tym polega wielkość Lenina. Dzięki temu poprowadził on swą partię i klasę robotniczą do zwycięstwa w Listopadzie, dzięki temu nakreślił słuszną drogę budownictwa socjalistycznego na przyszłość.

Lenin był jedynym w swoich czasach przywódcą proletariackim, całkowicie wolnym od nałotu socjal-demokratyzmu, nałotu, który zniósł t. zw. centrum marksistowskie, a poważnie nadzierał socjalistyczną lewicę Zachodu owego czasu. Ta postać Lenina miała niewątpliwie swe przyczyny obiektywne: położenie klasy robotniczej w Rosji carskiej, w swym najsłabszym ogniwie ówczesnego imperializmu, nagromadzenie właśnie w Rosji wszystkich przeciwności imperializmu w najskrajszej formie. Ale przeciwieństwa te gromadziły się przecież i narastały w całym ówczesnym świecie kapitalistycznym, a przywódcy innych partii socjalistycznych potrafili o pisać w a c i e w grubych tomach, ale nie potrafili się stwierdzenia tych faktów wyciągnąć rewolucyjnych wniosków. Lenin jeden, ponad cały okres spłycenia marksizmu przez reformistów potrafił nawiązać całkowicie do marksowskiej i engelsowskiej tradycji, do marksowskiej i engelsowskiej praktyki, potrafił wznowić ją w nowych warunkach powszechnego kryzysu kapitalizmu i właśnie dzięki temu — potrafił zwyciężyć. Na tym polega jego genialność.

Właśnie dlatego Lenin, szczęśliwszy niż Marks i Engels, potrafił pozostawić klasie robotniczej świata, potrafił pozostawić całej ludzkości w dziedzictwie dzieło swego życia: proletariacką, rewolucyjną władzę radziecką na jednej szóstej części globu ziemskiego, władzę, która zbudowała socjalizm, władzę, która stanowi ośrodek sił postępowych i demokratycznych całego świata.

Mówi się wielokrotnie o przodującej roli WKP(b), partii bolszewików w międzynarodowym ruchu robotniczym. Motywuje się to rolę przede wszystkim faktem, że WKP (b) to partia, która pierwsza obalila kapitalizm i pierwsza zbudowała socjalizm w swym kraju. Jest to oczywiście motywacja słusna, ale nie pełna.

WKP (b) to jedyna w świecie partia robotnicza, całkowicie wolna od wszelkich przytyków i pozostałości socjal-demokratyzmu, jedyna partia, zbudowana całkowicie zgodnie ze wskazaniami Lenina, jedyna dotąd — całkowicie i bez reszty — partia nowego typu.

Lenin, szczęśliwszy niż Marks i Engels, pozostawił po sobie kontynuatora swej pracy i swej myśli. Współtowarzysz walki i pracy Lenina za jego życia, Józef Stalin objął po śmierci Lenina kierownictwo partii bolszewickiej, by kierować nią w tej samej nierozzerwalnej łączności teorii i praktyki, z tą samą koncentracją myśli i czynów na zwycięstwo rewolucji, z tym samym rewolucyjnym realizmem jakże charakterystycznym dla Lenina.

Roman Werfel

TREŚĆ NUMERU: 2

Henryk Szyper — Romantyzm polityczny a młodzieńcza twórczość Mickiewicza; Ignacy Witz — Xawery Dunikowski; I. Zylbersztein — Nieznany portret Mickiewicza; Adolf Sowiński — W Jeleniej Górze; Stanisław Bruc — Książka o człowieku radzieckim; Po przyznaniu nagród państwowych; Iwan Turgieniew — Hamlet powiatu szczygrowskiego; Jakub Litwin — Plechanow znów aktualny; Ryszard Matczewski — Obrona „Dziwnych zabaw“; Janina Kulczycka-Saloni — Opowiadania Wandv Zólkiewskiej; W. Z. — Zjazd pisarzy ukraińskich; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Sztuka małych form czyli o „sprawie” Borowskiego



Tadeusz Borowski

ne, że od tego potępienia, jakie wyraził Borowski, bliższa jest droga do zrozumienia istoty samego zjawiska, niż od tego, jakie dała stara dewotka.

O ile jednak Budrecki przyznaje Borowskiemu rolę protestującego moralisty i krytykuje go za niewyciągnięcie z tego protestu dalszych wniosków, na co mamy prawo bezwzględnie liczyć w przyszłej jego twórczości, o tyle Sandauer w nieoczekiwany sposób zdaje się kwestionować istnienie samej pozytywnej i postępowej funkcji protestu moralnego, jaki zawiera twórczość Borowskiego.

Zwróćmy się do książki. Może „Kamienisty świat” jest istotnie w stosunku do „Pożegnania z Marią” — cofnięciem się? Borowski w przedmowie paruje możliwość ciosów krytyki stwierdzeniem, że „autor próbował możliwości jakie daje forma krótkiego opowiadania i uznał próbę za nieudaną. Forma krótkiego opowiadania podobna jest do formy klasycznego kolierzyka, gdyż tamuje oddech. Oduca ona komentarz i omówienia, przyzwyczajając do jednolitości czasu, miejsca i akcji, zamiast pisarza — kształci aparat fotograficzny”.

Barczy przebiegły chwyt, świadczący o inteligencji i krytycznym piórze. Bo prze-

cież już Budrecki w ocenie „Pożegnania z Marią” zarzuca Borowskiemu, że we wszystkich jego opowiadaniach „nie się nie dzieje”. „Nigdzie nie znajdujemy fabuły, nigdzie nie trafimy na rozwijany kolejno wątek akcyjny... Nie prowadzi się dziejów jakiejś poszczególnej sprawy... nie pokazuje się przemian, ale „dokładny rejestr najczęstszego statystycznie dnia w Oświęcimiu” itd. Jest rzeczą oczywistą, że w tym wypadku „Kamienisty świat”, w którym najdłuższy ze szkiców zmieściłby się na trzech stronach masywnego, nie zmienia sytuacji na lepsze.

Ale... Ze też ci krytycy muszą zawsze chcieć tego, czego nie ma, a nie umieją zająć się porządnie tym co jest! Nie warto prowadzić polemiki z samym autorem w obronie gatunku bardzo krótkiego opowiadania. Ograniczmy się do stwierdzenia, że jest to gatunek, który ma swoje prawa i na pewno nie jest łatwy. Z praw tego gatunku, podobnie jak nawet z praw dłuższej od niego noweli, wynika, że nie można w nim rozwijać pełnego obrazu środowiska, ani przeprowadzić wątku akcji. Można natomiast i należy środowisko i postaci w ten sposób za pomocą jednego lub paru rysów zaznaczyć, by z tego zaznaczenia jakiś większy obraz lub jakiś określony sens wynikał, dał się pomyśleć.

Czy zadaniu temu sprostał Borowski? Jakiej prawdziwie, jakim celem służy „Kamienisty świat”?

Na dwadzieścia „samodzielnych części”, z których składa się to jedno — jak chce autor — obszerne opowiadanie (można to rozumieć najwyżej jako przenośnię — „Kamienisty świat” jednym opowiadaniem nie jest) jedenaście dotyczy spraw obozowych i poobozowych, piętnaście — spraw obozowych, poobozowych i związanych z zakończeniem wojny i współczesną sytuacją polityczną. Tylko pięć może być przeniesionych w inny czas i w inne miejsce, i to, jeśli brnąć rzecz od strony zewnętrznych akcesoriów, bo ich głębsza, wewnętrzna treść nie różni ich od pozostałych. Już to mówi nam wiele.

Opowiadania obozowe „Kamienisty świat” różnią się od tych, jakie znamy z „Pożegnania z Marią”, w sposób zdecydowany. Naturalistyczna pasja w kreśleniu rzeczywistości została tu przyporządkowana pasji irracjonalnej, satyrycznej, makabrycznej grotesce, deformującej właściwie rzeczywistość, choć autor mógłby słusznie bronić — jak w wypadku kapitalnej historii z „kapo Kwaśniakiem” — że opowiadania dotyczą wyłącznie „prawdziwego życia”. Mamy znamienne wypadek, kiedy sposób selekcji rozstrzyga wyraźnie o deformacji, kiedy ilość przechodzi w jakość. Mamy do czynienia z ostatecznymi konsekwencjami postawy zajętej przez autora w „Pożegnaniu z Marią”, z istotnym — sędzićby należało — rozładowaniem „obozowego kompleksu”, którego społeczną ocenę autor dyskredytuje sztycherem w ostatnim z opowiadań. Autor poszedł tu konsekwentnie do końca po pewnej linii, w swym stosunku do rzeczywistości i wiadomo, że dalej już pójść w tym kierunku nie można.

Szkice obozowe i poobozowe „Kamienisty świat” są wyraźne — tak jak w „Pożegnaniu z Marią” — rodzajem moralnego protestu. Czy tylko moralnego? W opowiadaniach takich jak „Kamienisty świat”, „Koniec wojny”, „Independence day”, „Dziennik podróży” spotykamy się z dość przejrzystą ideologiczną kwalifikacją zjawisk takich jak postawa pisarza wobec otaczającego go powojennego świata, faszystowska praworządność, społeczne konflikty w chwili klęski hitlerizmu. Czy istotnie jest to ocena świata, według której wszystko, co triumfuje, jest złe i niedorzeczne? „Gdzie jeśli kto gnie, to dlatego, że jest niewinny” — jak pisze Sandauer?

Nie ma żadnych dowodów, uzasadniających tego rodzaju twierdzenie. Świat, który przedstawia Borowski, jest światem określonego typu. Światem społecznego i moralnego zła, światem, który w „Pożegnaniu z Marią” był jeszcze jątrzącą i tragicznie żywą tkanką, tutaj zaś, przeciwnie, jest światem oddalającym się, stygnącym w kształt nieludzki, kamienny. „Kamienisty świat”, świat sztycherstwa i drwiny, wydaje mi się wstępem do przezwyciężenia pewnego sposobu ujmowania rzeczywistości i samego rodzaju bliskiej dotychczas autorowi rzeczywistości w ogóle.

W jakim kierunku pójdzie dalszy rozwój talentu Tadeusza Borowskiego? Nie stoi przed nami konieczność sądenia o tym na ślepo. Mamy już próbki tej dalszej ewolucji w postaci dwu ostatnich jego opowiadań: „Ofensywy styczniowej” i „Zabawy z wodką” („Odrodzenie” nr. 206 i 211). Borowski uświadcza w nich być „pozytywny”, mniejsza o to, czy z pełnym powodzeniem w tym zakresie. Istotnym jest, że ponosi go nadal pasja satyryczna i pociąg do groteski. Ta pasja i ten pociąg dzięki którym powstały np. „Martwe dusze” Gogola, której cechą nieodłączną jest ukazywanie jeśli nie zła, to śmieśności, jeśli nie śmieśności, to pełnych zaprawionego lekką ironią humoru aspektów rzeczywistości.

W tym też kierunku idą te spośród opowiadań „Kamienisty świat”, które nie dotyczą wojenno-obozowej makabry, jak „Lato w miasteczku”, „Zaliczka”, „Pod bohaterem partyzantem”. Wszystkie one w swoim zakresie, na miarę swych, określonych choćby rozmiarem możliwości pełnią nieźle swoją rolę: społeczną rolę satyry, o której rozwiódł się chyba nie ma powodu. Dla wskazania związków satyry tego typu z literaturą okresu naturalizmu wystarczy też zapewne powołać się na Maupassanta. Niektóre z opowiadań („Opera, opera...”, „Upalne popołudnie”, „Mieszkański wieczór”) mają, toute dimension gardée, wyraźnie maupassantowskie zacięcie.

Czy znaczy to, że zdaniem moim Borowski, pisarz o niezwykłym talencie i plastycie, z jaką odmalowuje zarówno „kamienisty świat” jak sylwetki ludzkie („Zaliczka”, „Dziennik podróży”) skazany jest na to, aby w granicach tych pozostać? Myślę, że nie. Myślę, że wolno mu i że powinien próbować wszystkich gatunków i rodzajów, w jakich upatruje najkorzystniejszy dla siebie punkt widzenia rzeczywistości, wolno mu różnymi drogami zmierzać do wspólnej nam prawdy, będącej zarazem w tym wypadku jego własną prawdą artystyczną. Jego krytyczny stosunek do „statycznego” rodzaju migawek, które dał nam w „Kamienisty świat” jest nie tylko uzasadniony, ale s'anowi poza tym rodzaj rękopisem rzetelności jego pisarskiego wysiłku. „Sprawa” Borowskiego nie wygląda wcale tak pępownie i fatalistycznie, jak to przedstawił nam krytyk „Odrodzenia”.

Ryszard Matuszewski

LEOPOLD LEWIN

PIEŚŃ O ODBUDOWIE

I

Rosną konstrukcje, proste i śmiałe,
Strzeliły mury z marzeń i cegły —
Tak się buduje dom niepodległy,
Gruzem na przekór, ludziom na chwale.

Piecznią stropy, piętrzą się schody,
I słyszę słowa — to syn murarza
Porwijące strofy powtarza
Mickiewiczowskiej Ody.

A ojciec — kielnia, cegła do cegły
Tak się buduje dom niepodległy.

II

Na jezdnii śpiewnie warczy maszyna,
Przy niej robotnik, w oczach — płomień,
Pokrywa płynnym węglem kamienie,
I tak ulica pięknieć zaczyna.

Maszyna warczy, pożera grudy,
I słyszę dźwięki — syn asfaliarza
Na klawiaturze ognień odwarza
Rewolucyjnej Etiudy.

Ojciec — asfalem ściele ulicę,
Tak się buduje wolna stolica.

III

Wagony piasku, wapna, cementu,
Tony żelaza, betonu, stali
Podnoszą ludzie mocni, wytrwali,
I rośnie miasto od fundamentu.

W odbudowanej galerii sztuki,
Widzę obrazy — syn tramwajarza
Kształtem i barwą miasto wyraża:
Domy, tramwaje i bruki.

Maluje mosty, ojca siwiznę,
Wisłę, murarzy, niebo — ojczyznę.

IV

Ojciec wplątały w sieć rusztowania,
Dla prostych ludzi rozjaśnia wnętrza,
Na coraz wyższym i wyższym piętrze
Kielnią skanduje rytm zmartwychwstania.

A syn — architekt w przestrzeń błękitną
Wkresła wiertarki, dźwigi i krany,
Rzuca na karton wizję i plany,
Który pod ręką ojca zakwitną.

Wizja za wizją, cegła do cegły —
Tak się buduje kraj niepodległy.

JERZY MILLER

NA TAFLI SZKŁA

Gwiazda jest elementem złączonym
ze sprawą, która na ziemi rozstrzyga
walka, jest elementem przytomnym
walce, tłem koniecznym, aby
na jedną stronę zbliżył twory fantazji
bezkrwiste i niepotrzebne nikomu,
na drugiej znalazły ujście
produkty rozumu, miary, kruszce
i ornamenty użytecznej równowagi.

Poezja trwa na pierwszej stronie.
Załamuje łodowate palce,
miesza się z oddechem cudzych włosów,
z próżnym ciałem zabitych,
z pomrukiem ziemi, którą wstrząsa
planeta, ze łzą chłopca
dojrzałego w czasie wojny,
z konwulsją i śmiechem ostatecznym,
z wydrążonym ciałem umarłych,
z tradycją umierania, której
nie przezwycięży płomień gwiazdy.

Z dwu opublikowanych ostatnio ocen prozy Tadeusza Borowskiego — jednej pióra Lecha Budreckiego („Twórczość” zeszyt 11, 1948) i drugiej Artura Sandauera („Odrodzenie” Nr 215 „Sprawa Borowskiego i innych”) zdecydowanie słuszniejszą w zasadniczych wnioskach wydaje mi się pierwsza. Budrecki wskazuje, podobnie jak później Sandauer, na dość oczywiste związki opowiadań Borowskiego z naturalizmem, współczesną literaturą egzystencjalizującą i amerykańską, z Celine'm i Henry Millerem, stawia mu poważne zarzuty z punktu widzenia krytyka pragnącego ocenić świat po marksistowsku, ale przyznaje mu rolę moralisty i osadza „Pożegnania z Marią” jako „rozpaczyliwie dzieło kaznodziei stojącego na pozycjach buntu wymierzzonego w imperializm”, choć też „i kończącego się na tym”. Sandauer mówi natomiast o „konstrukcji samouniecławiającej”, o „bezsensie i kontransensie”, o „świecie”, który uparł się, aby zadawać kłam tradycjonalnej logice, estetyce i moralności”, jednym słowem o dojącej się wyczerzać spoza obrazu świata, nakreślonego nam przez Borowskiego, jego zasadniczej absurdalności. Zestawienie tych dwu ocen wskazuje wyraźnie na ich dość zasadniczą rozbieżność. Kim jest Borowski? Moralista czy drwiącym cynikiem? „Kaznodzieja”, czy nihilista podważającym sens każdej moralnej — ba! także logicznej i estetycznej oceny?

Dla mnie jest oczywiste, że wbrew pewnym pozorom, zgodnie z analizą Budreckiego — mamy do czynienia z pierwszym wypadkiem. Ocena Sandauera, wsparta o sumiennej analizie formalnej i słuszna w wielu przesłankach jest pomyłką zresztą tylko w końcowych wnioskach. Bo istotnie w „Kamienisty świat” podobnie jak w „Pożegnaniu z Marią” odnajdujemy „samookarzący się i autoparodystyczny pasję”, odnajdujemy też „parodie wszelkich dotąd używanych konstrukcji”; i to, co Sandauer nazywa „konstrukcjami mylnymi” czy raczej mylącymi, ale wyzerają przez nie nietyle konflikty i sprzeczności (te być może są, ale forma w jakiej pisarz zamyka swe dzieło, to nie żaden symbol do rozszyfrowania, zostawiamy to psychoanalitykom) — ile komplikacja intelektualna, bardzo płodna artystycznie.

Kiedy zaś przebrniemy przez ową komplikację formy, wykorzystującej wszystkie atuty, jakich dostarcza nieświadomość, aluzja, cały wachlarz odcieni groteski i sztycherstwa — dojdziemy bez trudu do postawy moralnej autora: postawy jasnej, uczciwej, walczącej z obudą i zakłamaniem, postawy odważnej, nieuprzedzonej obrazu świata w duchu idealizujących i mitologizujących formulek. Postawy godnej tego, aby uznać ją za pozycję wyjściową do osiągnięcia dalszych, tych, o które wszystkim nam, a przed innymi na pewno samemu Borowskiemu chodzi.

I dlatego właśnie, że widzę w postawie Borowskiego, dalekiej od tego, co może być uważane za cel pisarza realisty, ale ku temu celowi obróconej, właściwą i cenna pozycję wyjściową, — uważam owo rozróżnienie dwu krytyk, Budreckiego i Sandauera, za celowe i konieczne. Jest bowiem niezbytym faktem, że pierwsze utwory Borowskiego nie zawierają wiele ponad bunt i protest. Czyż jednak doprawdy jest to w tym wypadku mało? Trafne są uwagi Budreckiego o tym, że Borowski pokazał nam „prawdę” o Oświęcimiu, niejako „bezzprzymiotnikowo”, że prawdy tej ściślej nie określili społecznie i politycznie. „Na terenie poszczególnych opowiadań nie dowiemy się, dlaczego powstał Oświęcim, nie zrozumiemy go jako pewnej instytucji w ramach państwa faszystowskiego” — pisze młody krytyk z właściwą młodości surowością sądu. Ma rację, ściślejszą urzywają się w lesie faktów. Ale nie idą w złym kierunku. „Potępiony jest faszyzm nie za to, że był faszyzmem, ale za metody, jakich używał”. Wiemy, że w różny sposób potępiano metody stosowane w Oświęcimiu: Kossak-Szczuczka potępiała je również. Jas-

JESSE był bliski płaczu. Czekał na Toma w niewielkim pokoiku biurowym, ciesząc się, że jego stłuczona noga nieco odpocznie. Ponadto z radością myślał o tej chwili, kiedy Tom powie:

— No dobrze... jeżeli chcesz, możesz zaraz przystąpić do pracy

Jesse siedzi pieszo z górą dwa tygodnie z Kansas-City do Tooleo, ze Stanu Missouri do Oklahamy. Szedł dniem i nocą pod palącym słońcem i ulewami deszczami, głodował, nie spał — owa oczekiwana chwila podtrzymywała go na duchu. I oto teraz Tom otworzył drzwi do pokoju. Szedł szybko, trzymając w rękach plik papierów. Spojrzył przelotnie na Jesse, ale go nie poznał. A przecież Tom Breckett był szwagrem Jesse.

A może to była wina jego ubrania, które miał na sobie? Jesse wiedział, że wygląda okropnie. Usiłował przy fontannie w parku umyć się i oczyścić, ale i to też niewiele pomogło. Ręce mu drżały, zaczął się brzytwą przy goleniu i teraz na policzku miał obrzydliwą szramę. Niepodo-bieństwem było wytrząpać marynarkę z czerwonego kurzu, którym przesiąkała. A może to on zmienił się tak bardzo w ciągu tego czasu?

Co prawda nie widzieli się od pięciu lat i Tom rzeczywiście wyglądał starszej. Czyżby i on sam tak bardzo się zmienił?

Breckett odłożył telefoniczną słuchawkę, rozsiadł się wygodnie w obracającym się na osi krześle i dość podejrzliwie a nawet niechętnie spojrzął na Jesse swymi małymi, jasnoniebieskimi oczyma.

Tom był otyłym czterdziestopięcioletnim mężczyzną, z wyraźnie zarysowanym brzuszkiem. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie dość nieprzystępnego człowieka, twarz miał okrągłą, rysy bardzo wyraziste, nos mięisty i nieco zaczerwieniony. Można było bezbłędnie określić go jako człowieka solidnego, znaczącego się na interesach.

Breckett patrzył na Jesse zimnym i obojętnym wzrokiem, najwyraźniej nie mając ochoty tracić czasu na niepotrzebne rozmowy. Jesse wyczuwał jego pogardliwy stosunek, nawet w tym jak Tom gryzł trzymaną w zębach wykałaczkę.

— No i co? — odezwał się naraz Tom. — Czego pan chce?

„Jak na początek to wcale niezłe — pomyślał Jesse. — Mogło być gorzej”. Zrobił parę kroków w kierunku drewnianej barierki, dzielącej biuro na dwie części i nerwowymi ruchami przyczesał swe zwichrzane włosy.

— Nie poznajesz mnie Tom? — nie pewnie zapytał. — Jestem Jesse Fulton.

— Co? — zapytał Breckett.

— Fulton. Masz pozdrowienia od Elly.

Breckett wstał, podszedł do barierki i stanął twarzą w twarz z Jesse. Podejrzliwie przyglądał się, usiłując odnaleźć w nim bodaj coś, co przypominało by mu męża jego siostry. Człowiek, który stał przed nim był wysokiego wzrostu, mógł mieć około trzydziestu lat. Jakies podobieństwo jest. Te same rysy, wysoki, dobrze zbudowany. Zgadza się — ale ta wy-cieńczona twarz, to wychudłe ciało pod ubraniem wiszącym na nim jak worek i bardzo zniszczony. Kto wie? Mąż jego siostry był co prawda kiedyś zdrowym, młodym człowiekiem, był silny i rosy. A teraz — patrzył jak na wypłowiałe i bardzo złe amatorskie zdjęcie i usiłował odnaleźć w nim jakieś podobieństwo do oryginału. Wprawdzie jest jakieś podobieństwo, a jednak to nie to. Spojrzył mu w oczy. Tak, oczy są mu znajome — szare, wzrok jakiś zlekka zażenowany, nieśmiały. Takie oczy od razu wskazują, że ma się do czynienia z przywoitym człowiekiem. Zawsze mu się to podobało w mężu jego siostry.

Jesse stał spokojnie, ale wszystko się w nim burzyło. Breckett przyglądał mu się jak wynędzniałej szkapie. Z jego wzroku wyzierała litość i to właśnie gniewało Jesse. Czyżby doprawdy tak marnie wyglądał?

— Tak. To ty — powiedział wreszcie Tom — aleś się bardzo zmienił!

— Jednak minęło pięć lat — odezwał się urażony Jesse. Widzieliśmy się wszystkiego dwa razy, nie więcej. Walcząc z narastającym w nim uczuciem gniewu i wstydu, myślał, zaciskając zęby: „Zmieniłem się, to i cóż. Wszyscy się zmieniają”.

— Taki był z ciebie zdrówy chłop — mówił dalej Breckett tym samym niedowierzającym i zdziwionym głosem. — Zmarniałeś, wychudłeś...

Jesse milczał. Zależało mu ogromnie na Tomie, więc nie miało sensu oponować i usposabiać go przeciwko sobie. Musiał jednak opanować się by mu nie odpowiedzieć bardziej szorstko. Chwila milczenia przedłużała się, aż wreszcie stało się ono nad wyraz uciążliwe. Breckett poczerwieniał cały na twarzy.

ALBERT MALTZ

NAJSZCZĘŚLIWSZY

— A to dobre sobie! — ocknął się naraz i podniósł poprzeczkę barierki. — Wchodź, siadaj — zawołał chwytając Jesse za rękę i ściskając ją mocno. — Ciesz się, że cię widzę, nie obrażaj się na mnie. Wyglądasz na bardzo zmęczonego.

— To drobnostka — odruchnął Jesse. Usiadł na krześle i znów zanurzył obie ręce w swych gęstych, zwichrzonych włosach.

— Cóż to, kulejesz? — Tak, uderzyłem się o kamień. — Jesse schował nogi pod krzesło.

Wstyd mu było swych butów, które otrzymał z Urzędu Pomocy dla Bezrobotnych, ale w ciągu tych dwóch tygodni buty rozlażyły się doszczętnie. Dziś z rana Jesse z jakąś niemadrą powagą uroczyście przysięgał sobie, że przede wszystkim sprawi sobie nowe, przyzwoite buty — później dopiero ubranie. Breckett odwrócił wzrok. Rozumiał, że Jesse znosił meki i było mu go bardzo żal. To okropne. Nigdy nie widział dotychczas ludzi w takim stanie. Siostra pisała do niego co tydzień, ale nawet nie wspomniała o tym, że powodzi im się tak źle.

— No dobrze — powiedział Tom — opowiedz co u was słychać. Jak się miewa Elly?

— Elly? — niezłe — odpowiedział Jesse. Głos miał łagodny, przyjemny i nieco niesmiały, podobnie jak oczy. Zastanawiał się nad tym, od czego zacząć rozmowę.

— A dzieci?

— Niezłe... — odpowiedział Jesse i dodał: — nasz najmłodszy nie chodzi, trzeba było mu założyć ortopedyczny aparat. Ale dzieciak jest mądry, lubi rysować.

— No to dobrze — Tom chciał jeszcze coś powiedzieć, ale urwał.

Znów milczenie. Jesse kręcił się niespokojnie na krześle. Właśnie teraz należało przystąpić do rzeczy, a jego opuściła naraz odwaga. Breckett nachylił się i położył rękę na kolanie Jesse.

— Elly nie pisała, że wam się tak źle powodzi. Byłbym wam pomógł.

— E, co tam... zdaje się, że i twoje interesy też nienadzwyczajnie stoją.

— Tak — twarz posmutniała mu naraz. — Wiesz, że tego sklepu z żelazem tu już nie mam.

— Wiem. Pisałeś. Właśnie to mam na myśli.

— Widocznie zapomniałem. Nie mogę się jakoś do tego przyzwyczaić. Co prawda, niewiele było z niego pożytku, ostatnie trzy lata same straty w handlu. Trzymałem się bo to zawsze własny sklep. — Roześmiał się niewesoło. — Opowiedz o sobie. Dlaczego jesteś bez pracy?

Jesse zaniepokoił się naraz.

— O tym później. Słuchaj Tom. Muszę z tobą o czymś pomówić.

— Pokłóciłeś się z Elly? — zapytał zaniepokojony Tom.

— Skądże znowu? — Jesse wstał. — Jak ci coś podobnego mogło przyjść na myśl. Przecież ja i Elly... — uśmiechnął się całą twarzą. — Kochamy się bardzo. Drugiej takiej nie znajdziemy. Nie mogłbym żyć bez niej.

— Pomyliłem się. Przepraszam cię. — Breckett roześmiał się jakoś nieudolnie i odwrócił się.

Ten wybuch szczerego, obnażonego uczucia głęboko go poruszył. Zapragnął zrobić coś dla swojej siostry i jej męża. Porządni ludzie — życie nie było dla nich zbyt łaskawe. Elly też taka jak on — ładna, nieśmiała.

— Posłuchaj Tom — odezwał się Jesse. Przyjechałem do ciebie w pewnej sprawie — i znów zanurzył palce we włosach.

— Mój drogi — westchnął Breckett, jak gdyby czekając na te słowa — nie wiele ci mogę pomóc. Trzydzieści pięć dolarów tygodniowo, to wszystko co mam.

— Wiem, wiem — mówił szybko Jesse. Znów uczuł to radosne podniecenie, które go ogarnęło z rana. — Nie możesz mi pomóc pieniędzmi wiem. Ale rozmawiajmy z pewnym człowiekiem, który pracuje u ciebie. Był u nas w mieście. Powiedział, że znajdzie się praca dla mnie

— Kto to był?

— Dlaczego sam nie napisałeś? — zapytał z wyrzutem Jesse. Kiedyś się dowiedział, że tu może być praca, od razu wybrałem się w drogę. Szedłem dwa tygodnie pieszo.

Breckett aż jęknął!

— Szedłeś dwa tygodnie z Kansas City do mnie po pracę?

— No tak.

— Wielki Boże... Ależ nie ma tu żadnej

pracy. U nas zastój. Nie wiesz co się teraz w nauce dzieje. — A poza tym trzeba być specjalistą. Mam tutaj przyjaciół, ale i oni niewiele pomogą. Gdybym wiedział, że jest jakkolwiek możliwość, z pewnością poleciłbym cię.

Jesse siedział jak rażony piorunem. Miejsce nadziei która go podtrzymywała w przeciągu ostatnich dwóch tygodni, zajął ból, straszliwy ból, od którego aż skurczyło się coś w żołądku. Zawołał z rozpaczą:

— Powiedział mi, że ty przyjmujesz ludzi do pracy, sam mi to powiedział. Był u ciebie szoferem przy ciężarówce. Mówił, że tu są zawsze ludzie potrzebni do pracy.

— U mnie, w moim wydziale? — cicho zapytał Tom.

— Tak, w twoim.

— Nie... nie będziesz chciał pracować u mnie — tym samym cichym głosem mówił Tom. — Ty nie wiesz jaka to jest praca.

— Właśnie, że wiem — przerwał mu Jesse. Wszystko mi powiedział. Zarządzasz transportem. Wysylasz ciężarówki z dynamitem.

— Kto to był ten człowiek?

— Zdaje się, że się nazywał Egbert.

— Egbert? Jego wzrostu co ja? — powoli pytał Tom.

— Tak. Przecież nie kłamał.

Tom roześmiał się. I tym razem w jego śmiechu nie było cienia wesołości.

ZOFIA LISSA

TRZY ROZMOWY Z

1945 — w marcu.

Gdy po raz pierwszy po wojnie przyjechałem do Warszawy, o charakterze tego zetknięcia z krajem zdecydowało parę spotkań. Na obraz pustych, wypalonych pudełek skupionych w jakimś gigantycznym pałacu „szczelnym — jakim z samolotu przerażała oczy Warszawa, na obrazach klasycznych wawozów z cegły i gruzu, jakimi były ulice miasta, nalożyły się pewne rozmowy i spotkania, i one to zdecydowały o emocjonalnym sensie pierwszego po długich latach spojrzenia na kraj. Jednym z tych spotkań, jedną z tych rozmów — było spotkanie, była krótka rozmowa z Bolesławem Woytowiczem.

Było to w klasnej, przepchniętej ludźmi poczekalni ówczesnego Ministerstwa Kultury i Sztuki, na Pradze, na Wileńskiej. Korytarze gmańcu brudne, jeszcze nie „ministerialne”, ruch — jeszcze bardzo niespokojny, wojenny, ludzie — w swym wyglądzie też „wojenni”. Tłok niewypowiedziany. Ówczesny Minister Kultury — Rzymowski i wice-minister Wende jeszcze urzędowali wspólnie, mieli wspólny sekretariat, jedną sekretarkę i wspólną poczekalnię.

W kacie tej zatłoczonej poczekalni, na jednym bodajże krześle siedział Bolesław Woytowicz. Wychudzony, w silnie podnieconym letnim piasku. Opuchnięte na skutek przebiegu popowojennych nogi nie pozwalały mu wstać.

— Proszę wybaczyć, że siedzę. Mam chore nogi. Przyszedłem na piechotę do pracy. Może się do czegoś przydam.

W krótkim spleciu parę pytań, parę odpowiedzi.

— A rękopisy, kompozycje?

— Wszystkie spalone. I koncert fortepianowy i certinno na orkiestrę i wariacje symfoniczne. Nic nie zostało, może ocalaly rzeczy wydane, jeszcze nie wiem. Ale za czynam na nowo. Już szkicuję. Muszę to wszystko, co przeżyłem, wyrzucić ze siebie, będzie to symfonia, może oratorium — jeszcze nie wiem. Będzie obrazem tego wszystkiego co przeszła Warszawa. Na razie jednak przychodzi stawiać się do dyspozycji, do roboty...

1947 w październiku

Wrocław, Festiwal Radiowy. Nabita po brzegi sala Polskiego Radia na Krzykach. Tak zwany przez wszystkich „Ficio” (Grzegorz Fiteberg) przy pulpicie dyrygenckim Radiowej Orkiestry Katowickiej. W programie — II Symfonia Bolesława Woytowicza, Symfonia Warszawska.

I potem znów rozmowa z Woytowiczem. — Widzi pani, obiecywałem przez 1 1/2 laty „symfonię”. I jest. Musiałem się „wypisać”, „wsgredzić”. — jak mówi Freud, i to w zupełnie określonym tematyce. Na pewno moi koledzy zarzucą mi programowość tak potępianą u nas przez naszych „absolutnych muzyków”. Ale ja uważam, że żadna uczelwa muzyka nie powstaje inaczej, jak ze źródeł głębokiego wzruszenia, przemienienia, przeżycia. A podstawą takiego przeżycia jest przede wszystkim rzeczywistość. Nie piszę nigdy tylko po to, by powstała nowa pozycja — kompozytorska, nowy opus. Wszel-

— Nie, nie kłamał — dodał zmienionym głosem. — Gdybyś był napisał, dowiedziałbyś się, zanim wyruszyłeś w taką daleką podróż.

— Umyślnie nie pisałem — z naiwną przebiegłością tłumaczył Jesse. — Wiedziałem, że mi odmówisz. Mówił mi, że to niebezpieczna praca. Ale mnie wszystko jedno.

Tom zacisnął mocno obie ręce. Jego okrągła twarz nabrała jeszcze bardziej surowego wyrazu: — a jednak będę musiał ci odmówić, Jesse.

— Co ty mówisz? — błagalnie zawołał Jesse.

Nawet na myśl mu nie przyszło, że Tom mógłby się nie zgodzić. Zdawało mu się, że najważniejsze jest przyjść, a praca się znajdzie.

— Może by się i znalazła praca. Miejsce Egberta jest wolne.

— Odszedł?

— Umarł.

— Aa...

— Zginął przy pracy. Jeżeli chcesz wiedzieć — wczoraj w nocy.

— Aa... — a później dodał: — a no trudno!

— Posłuchaj — powiedział Tom. — Opowiem ci coś, co powinienes być wiedzieć zanim wyruszyłeś w drogę. My nie rozwojomy dynamitu. Przy wierceniu naftowych szybów dynamit nie ma zastosowania. Wolelibyśmy pracować przy pomocy dynamitu. Tu chodzi o nitroglic-

ka twórczość jest uzewnętrznieniem stanów psychicznych. Jeśli ubieram w słowa i pojęcia program mojej „warszawskiej symfonii” — to za tym kryją się przeżycia, emocje, ex post ujęte tylko w słowa.

Musiałem jakoś wyrazić to łamanie się wewnętrzne ludzi w czasie okupacji. Konieczność zachowania kamiennej twarzy przy wszelkich okolicznościach. Beznadziejność i pustka codziennej walki z przemocą i brutalnością przedstawicieli „germańskiej cywilizacji”. I to stanowi programową osnowę pierwszej części symfonii, która oddaje tę jałową, meczą atmosferę naszego życia w tym okresie. W części II — jest zryw do walki, bunt, Motywy „Warszawiaki” — to symbol tego buntu. Część trzecia to wyraz nastrojów nie czasowo późniejszych, ale równoległych do poprzedniej części. Tam był załagęć walki. Beznadziejność nastrojów pierwszej części przeciwstawia się tu nowy moment — nadzieja. Temu towarzyszy próba opanowania sytuacji świadomości, narastanie zorganizowanego oporu wewnętrznego. Już nie bierność poddanie się, ale skutone poszukiwanie wyjścia. Podwójna fuga, która jest formą tej części — nosi w sobie symbol tego opanowania rzeczywistości. Stąd już niedaleko do dalszego kroku — do czynu. Final symfonii o pewnych pierwiastkach ludzkich z owym marzmem młodych na końcu — to całkowite wyzwolenie z nastrojów pierwszej części, to podjęcie czynu — to po prostu marsz młodych, którzy idą się bić, to wyzwolenie.

Symfonia ta nie jest opisem faktów, nie jest utworem programowym — batalistycznym. Jest opisem stanów psychicznych nas wszystkich w okresie okupacji. Naszego przejścia od pierwszej porażki do walki.

Wiem, że symfonia ta posiada swoje „szwy”. Ze są w niej pewne dużyżyny. Ze nie jest ona ostatecznym rozwiązaniem tak trudnego dziś zagadnienia: współczesnego stylu muzycznego. Ale wiem jedno: ta symfonia naprawdę jest związana z naszą rzeczywistością i z tego punktu widzenia jest prawdziwa.

Bo gdy coś piszę, nie pozwalam sobie na nic, co dla mnie nie jest oczywiste, a więc prawdziwe. Nie wiem, czy ten wyraz mojej prawdy wewnętrznej dociera do każdego słuchacza, czy go przekonuje. Ale to jest dla mnie jedynym kryterium wartości tego, co robię, co piszę. I jeszcze jedno jest dla mnie ważne — żeby to, co odczuwam jako moją prawdę muzyczną było wypowiedziane przy pomocy jak najoszczędniejszych środków.

Mogłoby się wydawać, że w symfonii Warszawskiej zdradzam ze zasad. Symfonia, ta nie jest oszczędna w środkach, bo podniosłem jej jest zbiorowość. Monumentalność środków jest tu zgodna z prawdą.

— Za to zobaczy pan jak prostą jest moja „Kantata na pochwałę pracy”, którą teraz rozpocząłem pisać. Będzie to kantata oratoryjna, symfoniczowana. Pomyślana jednak będzie tak, by mogły ją wykonać zaawansowane zespoły amatorskie. Chciałbym w niej znaleźć wyraz dla filozoficznej postawy, praca jako czynnik uszczęśliwiający. Jeśli mi się uda, jeśli widzę to, co chciałem — pragnąłbym ją poświęcić tym, którzy pracują i którzy czują radość z pracy.

CZŁOWIEK NA ŚWIECIE

Przełożył JÓZEF BRODZKI

ryne.
— Wiem — powiedział Jessy. — Mówił mi. Ja wiem.
— Zaczekaj! — przerwał mu z gniewem Tom. Posłuchaj, co ci powiem. Wystarczy jedno spojrzenie i od razu eksplozja. Wiesz jak się przewozi nitroglicerynę. W specjalnych blaszankach... ułożonych wachlarzem, kilka przegródek, pomiędzy nimi guma... inaczej byłoby niebezpieczne.

— Posłuchaj Tom...
— Mówiłem ci, zaczekaj. Zastanów się. Rozumiem, że chciałbyś zaraz zacząć pracować, ale przecież musisz sobie zdać sprawę z ryzyka. Przewozi się na specjalnych ciężarówkach. Nocami. Marszruta dokładnie określona. Przez miasta nie wolno przejeżdżać. Jeżeli się trzeba zatrzymać, są specjalne garaże. Czy ty sobie zdajesz z tego sprawę, czy ty wiesz jakie to niebezpieczne?

— Będę jeździł bardzo ostrożnie. Umielem doskonale prowadzić ciężarówkę, będę jeździł powoli.

— Tom pojękiwał w dalszym ciągu:
— A tobie się zdaje, że Egbert nie jeździł ostrożnie? Myślisz, że on nie umiał prowadzić ciężarówki?

— Tom — powiedział naraz poważnym głosem Jessy — nie strasz mnie. Mnie w tej chwili tylko jedno obchodzi. Egbert dostawał dolara za każdą milę, tak mi mówił. Jeździł co drugi dzień. Zarabiał miesięcznie od pięciuset do sześciuset dolarów. Czy mnie też będą tak płacić?

— Naturalnie, że będą! — rozgniewał się Tom. Dolar za milę. A tobie się zdaje, że Towarzystwo za darmo płaci. Egbert w nocy najechał na kamień i koniec. Albo opona pęknie, albo zaprosisz ci się oko, wypuścisz na sekundę kierownicę — i skończona. Różnie bywa. Egbert już nam nie powie jak to z nim było. Ani śladu po nim i po ciężarówce nie zostało. Nic. Może gdzieś tam jutro znajda na polu kawały wygiętego żelaza. Po nim samym na pewno nic nie zostało. Wiemy tylko jedno: ciężarówka nie nadeszła. Wtedy czekam na telefon z policji. Wiesz jak to wczoraj było? Na moście. Kto go tam wie — może zawadził błotnikiem o poręcz, może to jego wina. Ale ani mostu, ani ciężarówki nie ma. Egberta też nie ma. Teraz rozumiesz co to znaczy dolar za milę... Niech go diabli porwa.

Znów zapadło milczenie. Jessy siedział ścisnąwszy swe długie, chude palce. Usta miał nawpół otwarte, twarz wykrzywiła się w niewysłowionym cierpieniu. Później zamknął oczy i przemówił cichym głosem:

— To wszystko jedno. Uprowadziłeś mnie Tom, a teraz, zmiłuj się nadę mną, daj mi pracę.

Tom wyrznął pięścią w stół.

— Nie!

— Posłuchaj Tom — mówił prawie szeptem Jessy — zrozum... — otworzył oczy a w nich były łzy.

Tom odwrócił się od niego.

— Popatrz na mnie Tom. Cożes ty pomyślał, kiedyś mnie zobaczył?

— Pomyślałem na pewno: „Czego ten wściekły tutaj chce. Niech idzie gdzie indziej zebrać”. Prawda Tom? Ja już dłużej nie mogę. Chcę chodzić z głową podniesioną do góry.

— Zwariowałeś! U nas co rok na pięciu szoferów jeden ginie. Zastanów się, czy warto?

— A co jest warte takie życie. Zdychamy z głodu. Przecież mnie już skreślili z listy zapomóg.

— Trzeba było mi o tym powiedzieć — krzyczał na niego Tom. Sameś sobie winien. Po co głowę do góry zadzierać jak w domu nędza. Pożyczę, pošlemy telegraficznie pieniądze Elly. A ty wracaj do domu, może cię znów wpiszą na listę... może jeszcze dostaniesz zasiłek.

— A dalej co?

— A dalej będziesz czekał. Masz czas, młody jesteś. Nie masz prawa ryzykować życiem. Kiedyś pracę dostaniesz.

— Nie! — Jessy zerwał się znów z krzesła. Nie! Ja też tak myślałem dawniej, ale teraz już nie mam nadziei. Nie dostanę pracy, jak ty nie wrócisz do swego sklepu. Wyszędem z wprawy, przy linotypie, nie wolno wychodzić z wprawy, a ja zapomniałem. Sześć lat bez pracy, już sześć lat żyję z zasiłku. Jeżeli się trafiła jaka praca, to łopatą. Na wiosnę dostałem robotę. Myśleli, że jestem dobrym linotypistą. Ale maszyny nowe, trudne, a jak zmniejszają się obciążenia w drukarni, to mnie pierwszego wyleli.

— I co z tego? Znajdziesz inną robotę.

— A jakże. Sześć lat nie mogłem znaleźć. Teraz już sam nie miałbym odwagi usiąść przy maszynie. I co? Znów czekać aż mnie wpiszą na listę otrzymujących zasiłki?

— Nie trzeba tracić nadziei — przekonywał go Tom. Przyjdą lepsze czasy.

— Przyjdą... — odrzekł ponuro Jessy. Nie ma nadziei na to. Sześć lat już czekam. Teraz jedyna nadzieja — to ty.

— Zwariowałeś — bronił się Tom. Nie przyjmę cię do pracy. Pomyśl o Elly.

— A czy ja o niej nie myślę? — zlanym głosem powiedział Jessy i pościągł Toma za rękaw. — Właśnie dlatego zdecydowałem się. — Głos jego przeszedł w żalony szept. — Tego wieczoru, kiedy Egbert siedział u nas, spojrzalem na Elly i jak gdyby po raz pierwszy ją zobaczyłem. Czy ty myślisz, że ona wciąż jeszcze jest taka ładna jak dawniej?

Tom opuścił głowę i odszedł na bok. Jessy siedział z nim tłumiący plac i ciężko dysząc.

— Pamiętajsz, Tom, była jak laleczka. Wszyscy się za nią oglądali na ulicy. Nie ma jeszcze dwudziestu ośmiu lat, a już śladu po dawnej Elly nie ma.

Tom usiadł i zgarbił się cały. Ścisnął ręce, nachylił się całym ciałem naprzód i opuścił oczy w dół.

Jessy stał obok. Upokorzenie i błagalna prośba uczyniły jego chudą, zaczerwienioną od wzruszenia twarz brzydka, odrażającą.

— Nie umiałem urządzić życia Elly. Zastugiwała na lepsze. Moja jedyna nadzieja, że może teraz uda mi się coś zrobić dla niej. Nie powiodło mi się.

— Przestań wygadywać, łagodniejszym głosem odezwał się Tom. — Nie udało się... Nie udało się... Mnie się też nie udało. W takim samym położeniu są teraz miliony ludzi. Wszystkiemu jest winien kryzys, czy jak oni nazywają, depresja... A niech ją nagła śmierć... — zaklął i zamilkł.

— Nie — smutnym głosem mówił Jessy — może to jest usprawiedliwieniem dla innych, ale nie dla mnie. Mogłem przecież lepiej urządzić się w życiu. Sam ponoszę winę.

— Głupstwa gadasz — przerwał mu Tom. — Żadnej winy nie ponosisz. — Twarz Jessy pokryła się czerwonymi plamami, jak gdyby spuchła.

— A teraz wszystko jedno! Teraz wszystko jedno. Nie odmówisz mi. Przecież człowiek musi kiedyś podnieść głowę do góry! Ja mam dość tego piekła. Chcesz zobaczyć na nożki mego dziecka i myślał, że gdybym miał robotę, to by dziecko było zdrowe! Każdy jego krok mówi: to twoja wina, że mnie ojciec karmi!

leś Tom, czy ty myślisz, że ja będę jeszcze następnym sześć lat siedział bez pracy i patrzył na swego chorego syna? Tom zerwał się z pasją z krzesła.

— Więc ty powiadasz, że to wszystko dla Elly? A co ona powie, jeśli ciebie rozszarpie na kawały — jeżeli wylecisz w powietrze?

— A może i nie wylecę — błagalnym głosem mówił Jessy. — Może i mnie się nareszcie coś uda w tym życiu?

— Każdy tak mówi. Jedno jest pewne — wcześniej czy później zginiesz.

— To niech zginę! — krzyczał już Jessy. — Niech! A tymczasem zarobię. Kupię sobie bućki. Popatrz na mnie. Kupię sobie nowe ubranie, a nie ten worek co to każdy widzi, żem go dostał z Urzędu dla Bezrobotnych. Będę palił papierosy. Kupię dzieciom słodyczy. Sam będę jadł. Tak. Ja też lubię słodycze. Ja też lubię wypić codziennie kufel piwa i ja też chcę żeby się Elly przyodziała i jadła mięso trzy, cztery razy w tygodniu. Ja też chciałbym pójść ze swoją rodziną do kina.

Tom opadł na krzesło.

— Przestań — odezwał się zmęczonym głosem.

— Nie — wołał dalej Jessy. Nie odcepij się ode mnie. Słuchaj Tom, już sobie wszystko obliczyłem. Wieleż to ja będę mógł odkładać z sześciuset dolarów miesięcznie! Popracuję trzy miesiące i będzie już tysiąc a może i więcej. Kto wie, może uda mi się dwa lata pociągnąć. Elly będzie miała zabezpieczenie na całe życie!

— Właśnie, właśnie... — przerwał mu Tom. — Tobie się zdaje, że jej łatwo będzie żyć, wiedząc, jaką pracę ma jej mąż?

— Wszystko sobie już obmyśliłem. Ona o niczym nie będzie wiedziała — powiem, że zarabiam czterdzieści dolarów tygodniowo, a resztę będziesz kładł na jej imię do banku.

— Dajże spokój — znów przerwał mu Tom — myślisz, że będziesz szczęśliwy. Każdej chwili, w śnie i na jawie, będziesz ciągle myślał: „zginę, czy nie zginę? Dziś, czy jutro?” A najgorsze są wolne dni. Nasi szoferzy pracują co drugi dzień, żeby jakoś utrzymać te nerwy w porządku. Będziesz leżał w swojej klitce, nie będziesz wiedział, co robić ze sobą. Takie to będzie twoje szczęście.

Jessy roześmiał się.

— Nie. To szczęście... Powiadam ci, że szczęście. Będę śpiewał z radości. Pomyśl tylko, Tom, po raz pierwszy od siedmiu lat będę miał prawo być dumny z siebie!

— Zamilcz nareszcie! — rozgniewał się Tom. W maleńkim pokoiku zapanowała cisza. Jessy szeptał błagalnie:

— Ty mi nie odmówisz, Tom... nie odmówisz... nie odmówisz.

Znów zaległa cisza. Tom podniósł obie ręce do góry i ścisnął dłońmi skronie.

— Tom, Tom... — skamlał Jessy.

Tom głośno tym razem jęknął.

— A niech cię diabli porwą! Dobrze. Weźmę cię. Niech się dzieje, co chce. — Mówił ochryplym, straszliwie zmęczonym głosem. — Chcesz jechać dzisiaj — jedź.

Jessy milczał. Nie mógł wydobyć ze siebie ani jednego słowa.

Tom spojrział na niego. Po twarzy Jessy płynęły łzy. Łykał kurczowo ślinę i usiłował coś powiedzieć, ale zamiast słów przez usta wydarł się stłumiony szloch.

— Zatelegrafuj do Elly — mówił tym samym ochryplym i zmęczonym głosem Tom. Powiadomię ją, żeś dostał robotę. Za dwa dni wyślesz jej pieniądze na podróż. Zapłacą ci później, jeżeli dociągniesz do końca tygodnia, ty szalona głowo!

Jessy milcząco potakiwał głową. Serce tłukło mu się tak mocno w piersiach, że przycisnął obie ręce, jak gdyby chciał je powstrzymać.

— Przyjdź o szóstej — powiedział Tom. Masz pieniądze. Najedź się porządnie.

— Dziękuję — zaszepotał Jessy.

Zaczekał — zatrzymał go Tom. — Masz tu mój adres. Napisal mu go na skrawku papieru. — Siadaj na byle jaki tramwaj, który idzie w tamtą stronę. Zapytasz konduktora, powie ci gdzie wysiąść. Wykap się i wyspij.

— Dziękuję — powtórzył Jessy. — Dziękuję ci, Tom.

— Zmiałaj, niech cię nie widzę.

— Tom... — Jessy zaciął się.

— Co?

— Ja... — Jessy zaciął się.

Tom spojrział na niego. Oczy Jessy wciąż jeszcze były pełne łez, ale jego wychudła twarz jak gdyby promieniała.

Tom odwrócił się.

— Mam sporo roboty — idź już — mruknął.

Jessy wyszedł z biura. Poprzez łyzy wydawało mu się, że cały świat rozbitkuje złotem. Szedł kulejąc, w skroniach waliło mu jak młotem, a serce plonęło niewypowiedzianą radością.

— Jaki jestem szczęśliwy! — szeptał to sobie. — Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie!

Tom patrzył w ślad za nim, aż Jessy niknął za rogiem ulicy. Później zgarbił się cały i ścisnął głowę rękami. Serce łukło się nierówno, jak stary, zużyty, zakurzony mechanizm. Przysłuchiwał się pewien czas tym głuchym, męczącym uderzeniom. Siedział nieruchomo, ścisnąjąc głowę rękami.

Albert Maltz

B. WOYTOWICZEM

1949 — w styczniu

— Nagroda Państwowa — to było dla mnie czymś tak nieoczekiwanym, że pierwszą moją reakcją, która zresztą trwa nadal jest zdziwienie. Muszę to pani bliżej wyjaśnić. Bo uważam, że artysta, choć jest rzadkim zjawiskiem w społeczeństwie, nie powinien z tego wysnuć wniosku, że ma mieć jakies specjalne przywileje. Wytworzyła go konieczność społeczna, wobec czego artysta żyje po to, aby zaspokajając potrzeby społeczeństwa. Wprawdzie statystycznie twórcy są istotnie mniej liczni, niż ludzie innych zawodów, ale z tego nie wynika, że twórcy mają prawo więcej od społeczeństwa żądać. Z tego wynika jedynie to, że muszą społeczeństwu więcej dać. Jeśli artysta istotnie daje społeczeństwu czegoś, ono od niego wymaga, to wykonał tylko swój obowiązek społeczny. Że ten swój obowiązek każdy artysta odczuwa jako swoją osobistą potrzebę, swoją konieczność wewnętrzna — to rzecz inna. A wykonywanie obowiązku nie może być nagradzane.

Dlatego żenuje mnie to, że przyznano mi Nagrodę Państwową.

Dla mnie znaczenie tej nagrody jest inne. Przyszanie mi jej oznacza dla mnie znak równowagi między moim osobistym obowiązkiem, moją potrzebą wewnętrzną — a obowiązkiem społecznym. Jest to dla mnie otwarciem ogromnego kredytu na przyszłość. I stąd także płynie moje zadowolenie.

— A jak pan godzi swoją pracę twórczą, z obowiązkami pianisty-wykonawcy i pedagoga?

— Ktoś mnie kiedyś zapytał, która z tych trzech dziedzin pracy najbardziej mnie pociąga: kompozytorska, pianistyczna czy wychowawcza? Mnie się zdaje, że te wszystkie trzy formy są jedną i tą samą pracą. Jako kompozytor — komponuję swój utwór. Jako pianista — kształtuję, komponuję cudzy utwór, a jako pedagog „komponuję” przyszłego muzyka, wiąże wszystkie jego właściwości w jedną postać.

Oczywiście, że najbardziej wagi przywiązuję do pracy kompozytorskiej. Czy wie pani, że na samo napisanie mojej „Kantaty na chwałę pracy” zużyłem 800 godzin?

— Ale w tej chwili pasjonuje mnie i odtworczość. Zwłaszcza nowa jej forma — koncerty dla robotników wprost w ich warsztacie pracy. Mam już za sobą szereg takich koncertów po hutach — mieszkam przecie w centrum robotniczym w Katowicach.

Muszę stwierdzić, że odczuwam jakies zupełnie specjalne emocje, jakis nowy typ wzruszeń gdy gram dla tej nowej publiczności. Nie pamiętam wtedy o instrumencie, o technice, o sobie jako pianście. Jakas świeża atmosfera odmienna od normalnej koncertowej, jakis zupełnie nowy stosunek odbiorcy do wykonawcy. Jakbym się dobiebrał do samego miąższo owocu. Trudno mi to inaczej określić.

Na konkurs, rozpisany przez Związek Kompozytorów Polskich w związku z Rokiem Chopinowskim, chciałem napisać coś czysto symfonicznego oddać w orkiestrze tę pastelowość kolorytu, którą Chopin wprowadza do fortepianu. Mam już całosć w myśli gotową — tylko usiąść i pisać. Chciałbym od

tej strony nawiązać do Chopina, jakies „hommage à Chopin”, ale w bardzo przesublimowanej formie.

Uważam też za swój obowiązek napisać koncert fortepianowy, lepszy od tego, który się spalił w powstaniu. W jakim to będzie stylu?

Styl jest to sposób myślenia muzycznego. A myślenie muzyczne zmienia się, zależnie od zmiany w ogólnym myśleniu i odczuwaniu. Wiem tylko, że jedno i drugie musi być uczciwe.

Tę trzecią rozmowę z Bolesławem Woitowiczem prowadził znow w Warszawie. W Warszawie, która już nie jest skupiskiem wypalonych pudełek, ale mnóstwem domów, obrobionych rusztowaniami lub blyszczących świeżą bielą rekonstrukcji. Prowadziłem ją, idąc ulicami, które już nie były wawozami przebitymi w ceglach i gruzach — ale normalnymi ulicami stolicy, tętniącej gwarem ludzkim, ruchem ulicznym, pobliżającej oknami wystaw.

DANE BIOGRAFICZNE

Bolesław Woitowicz urodził się 5.XII 1899 roku w Dunajowcach na Podolu. Szkołę średnią skończył w Kijowie, gdzie studiował potem matematykę i filologię klasyczną. Studia prawnicze odbył na Uniwersytecie Warszawskim. Równolegle studiował w Wyższej Szkole im. Chopina fortepian u prof. Michałowskiego i kompozycję. Studia kompozytorskie uzupełniał w Paryżu u Nadii Boulanger 1930—1933). Działalność kompozytorską rozpoczyna w r. 1923. Jako pianista koncertuje w Rosji, Szwajcarii, Austrii, Francji, w Niemczech, we Włoszech i oczywiście w kraju.

Spis dzieł: Wariacje na fortepian (1923), Fantazja na skrzypce i fortepian (1929), 12 pieśni na głos z fortepianem (1928), 2 Mazurki (1928), 3 tańce na fortepian (1930), Kolytanka na sopran, flet, klarnet, fagot i harfę (1930), Mała Kantata na pochwałę Bozi i słońca (1931), Kwartet smyczkowy (1932), Koncert fortepianowy z wielką orkiestrą symfoniczną (1932), Suita koncertowa na orkiestrę symfoniczną (1933), Poemat żalobny na ork. symf. (1935), Concertino na małą ork. symf. (1936), 20 wariacji symfonicznych (1938), II Symfonia „Warszawska” (1945—6), 12 Etюд fortepianowych (1947), Kantata na pochwałę pracy (1948).

Udział w organizacjach artystycznych: Woitowicz jest czynnym członkiem Związku Kompozytorów Polskich, Związku Zaw. Muzyków, Polskiego Towarzystwa Muzyki Współczesnej.

Utwory jego były wielokrotnie wykonywane za granicą na festiwalach muzyki współczesnej (Wiedeń, Praga, Paryż). W r. 1937 otrzymał złoty medal za balet (osnuty na podstawie koncertina) na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu.

Po wojnie Woitowicz osiadł w Katowicach gdzie był przez pewien czas rektorem, a potem — po dziele „dziesięciu” — profesorem kompozycji i fortepianu. Rozwija ponadto żywą działalność koncertową, zwłaszcza na terenie Śląska, gdzie bierze żywy udział w ruchu upowszechniania muzyki.

Zofia Lissa

SEWERYN POLLAK

O FRANCISZKU SIEDLECKIM



Franciszek Siedlecki

1.

Od śmierci Franciszka Siedleckiego upłynęło już siedem lat. Lecz dziwnie żywy staje on przed nami, dawnymi jego przyjaciółmi, w codziennych naszych rozmowach i dziwnie żywe i po dzień dzisiejszy ważne jako osiągnięcia, jako punkty zwrotne w naszym rozwoju myślowym są wspomnienia rozmów z nim z lat jeszcze dawniejszych, z okresu wczesnej młodości.

Nie ja jeden, kiedy cofam się myślą w dawne lata, dopiero dziś potrafię ocenić, że gdyby nie rozmowy z Frankiem, gdyby nie jego uwagi, częstokroć rzucane prawie że mimochodem, bodajże bym nie osiągnął tego w zakresie swojej pracy, a przynajmniej przyszłości; to że znacznie większym trudem, co osiągnąłem poprzez dyskusje z nim, poprzez to, co stanowiło dla nas stały sprawdzian, stałą i żywą kontrolę myśli i doświadczeń. Skala jego zainteresowań, ich wszechstronność, ale i gruntowność przemysłu była godna podziwu. Zagadnienia społeczne i teoria wiersza, teoria przekładu poetyckiego i literatura dla dzieci, konstrukcja utworu literackiego i filozofia marksistowska — wszystko to u Franka było żywe, łączyło się ze sobą ściśle i zapełniało go. Wszystkie nasze zainteresowania skupiały się w nim jednym, i to bodajże było jednym z tych czynników, które sprawiły, że zawsze gromadziłem się wokół niego przyjaciele-uczniowie o dość odmiennych specjalnościach, a Franek z każdym z nich potrafił mówić z jednakim znawstwem przedmiotu.

Cheć tu mówić o jednej tylko dziedzinie jego pracy, dziedzinie, która u nas w Polsce aż do jego artykułów była prawie całkowicie ugorom — o teorii przekładu poetyckiego. Zanim jednak przystąpię do właściwego tematu, tj. do oceny roli Siedleckiego w postawieniu po raz pierwszy w Polsce zagadnienia przekładu poetyckiego na właściwej, sprawdzalnej naukowo płaszczyźnie, muszę poruszyć kilka wspomnień.

Okolo 1932 roku zacząłem tłumaczyć wiersze rosyjskie. Pierwsze moje próby tłumaczeniowe były nieśmiałe i bezplanowe. Tłumaczyłem to, co wpadło mi przypadkowo w ręce, traktując tę pracę jako pewnego rodzaju wprawki stylistyczne, ćwiczenia, które miały mi pomóc przy pisaniu wierszy własnych. Były tam liryki Jesienina, kilkakrotnie już tłumaczony, był wreszcie — ale to już później — Gumiliow. Kiedyś pokazałem te moje próby Siedleckiemu, którego niedługo przedtem poznałem. Od tego się właściwie zaczęło. Nie wiem, czy Franek interesował się przedtem sprawami przekładu poetyckiego; zapewne tak, gdyż mieszczą się one w obrębie zagadnień związanych z wersologią, mogą jednak powiedzieć na pewno, że od tego czasu stały się one głównym przedmiotem naszych rozmów. Zainteresowanie tłumaczeniem poezji zaczęło u nas stopniowo wzrastać — u Franka od strony teoretycznej zagadnienia, u mnie — od strony praktycznej. Po raz pierwszy pod wpływem naszych rozmów zacząłem sobie uświadamiać, że trudności, na jakie natrafiałem co krok, a których nie umiałem przełamywać, wynikają z wielu złożonych bardzo przyczyn. Po raz pierwszy również zetknąłem się z zagadnieniem doboru tłumaczonych utworów.

Siedleckiego, który już wtedy wypowiadał ostre sądy wobec tych, którzy tłumaczyli bez potrzeby wielokrotnie tłumaczony utwór, już wtedy mówił z niechęcią o „jesieninowszczyźnie“ w poezji polskiej, nie zrażyło to, że zacząłem właśnie od Jesienina. Postępowałem zresztą w myśl swej stałej zasady, aby każdego zachęcać do pracy w dziedzinie, gdzie podejrzewał możliwość choćby minimalnych osiągnięć.

Ale nie to było najważniejsze. Franek — erudyta, człowiek tak systematyczny, że wszystkie swoje uwagi, myśli, spostrzeżenia, wszystkie wyłowione z olbrzymiej lektury zdania, które mogły stać się przykładami lub cytatami, zapisywał na oddzielnych, gromadzonych wedle wściekle zawiłego systemu

karteczkach — ucząc innych uczył się sam. Trudno zresztą nazywać to nauką. Było to stałe, głośnie myślenie, pobudzanie do obserwacji i obserwowanie samemu każdego zjawiska. Zasoób tych obserwacji był ogromny, ale ułożony, usystematyzowany i skatalogowany, tworzył to, co nas zawsze wprawiało w podziw — wszechstronną i głęboką wiedzę Siedleckiego.

Należał on do tych ludzi, którzy wiedzę swą czerpali zewsząd, „na chodu“, jak mówią Rosjanie, nie ulegając przytem żadnym autorytetom, choć podlegając stale coraz to innym wpływom.

Właściwie źle się wyrażam. Nie były to wpływy, raczej zachwyty, zachylenia, zachochania literackie. Ten uczonego co pewien czas ulegał ostrym zakochaniom literackim, co pewien czas nawracając do nich i przeżywając je na nowo głęboko. Raz były to wiersze dla dzieci Czukowskiego, potem Blok, potem Bagricki, a wreszcie tuż przed samą wojną Aleksander Grin, mało znany rosyjski podróżnik po urojonych krajach, dziwak i fantasta, polskiego zresztą pochodzenia, nowy Conrad w rosyjskim wydaniu.

Pasje te pochodziły z jednego źródła — były nim niezrealizowane skłonności Siedleckiego do literatury, wstydliwie ukrywane pod maską uczonego artystyczne pragnienia, które raz po raz przebijają się poprzez nawarstwienia naukowej postawy, poprzez hyfachowskiego stylu to poematem dla dzieci, to próbą lirycznego zyciorysu Bloka, to znów jedynym zresztą przekładem wiersza tego psety.

Głównie jednak twórcze nastawienie Franka znajdowało ujście w rozmowach. Był on bodaj jedynym krytykiem, jakiego w życiu znałem, po rozmowach z którym chciało się pisać wiersze, chciało się wiersze tłumaczyć. Często je zwyczajnie zamawiał — zarysowywał temat, szkicował plan, przy tłumaczeniach ustalał metodę, nieledwie że dobierał rymy. Tak wyglądało zamówienie społeczne dokonane przez usta człowieka niezmiernie zresztą na sprawy społeczne wrażliwego.

Z początku Franek nie był komunistą. Nie brał czynnego udziału w życiu politycznym, choć był człowiekiem wiecznie dociekającym, poszukującym, czułym na każdą niesprawiedliwość, na każde zło. A niesprawiedliwość i zła czasy ówczesne nam nie szczędziły. Diabliki czwartego dziesięciolecia robiła swoje i tych, co umieli czuć czy myśleć konsekwentnie — a Franek umiał i jedno i drugie — nieomylnie wyrzucała na jedyny brzeg ocaczenia. Toteż nie zdziwiłem się zbytnie, gdy przy reorganizacji „Lewara“ jako pisma jednolitefrontowego pewnego dnia Franek oznajmił mi:

— Wiesz, zostałem członkiem komitetu redakcyjnego.

Ucieszyłem się, ale zadałem retoryczne pytanie:

— Dobrze, ale po co to zrobisz? Przecież nie jesteś publicystą, jesteś naukowcem, a to oderwie cię od pracy. — Odpowiedział: —

— Właśnie dlatego, że jestem naukowcem, czy, że chcę być naukowcem — musiałem to zrobić. Jeszcze kilka lat, a przy tym systemie politycznym, w tym ustroju nie można będzie pisać swobodnie nawet o transakcjach wiersza. Ponieważ chcę badać zagadnienie transakcji, muszę starać się zmienić ustrój.

Trudno było odmówić słuszności temu, rozumowaniu.

Odtąd nie było większej akcji społeczno-politycznej w naszym środowisku bez udziału Franka, nie było protestu, pod którym nie figurowałby jego podpis.

Ale wiersze i sprawa wierszy były zawsze punktem wyjścia. W cyklu Bloka „Zakęcie przez ogień i mrok“ jest wiersz, który się zaczyna od takiej strofy:

Rabotaj, robotaj, robotaj;
Ty budiesz s urodkim gorbom
Za dolgij i czestnoj rabotaj.
Za dolgim i czestnym trudom.

Siedlecki strofę tę powtarzał często. Z pasją, zaciekłe poprzez treść wiersza, poprzez analizę elementów dźwiękowych docierał do stanowiska społecznego Bloka, do treści ideologicznej.

— Czy nie widzisz — powtarzał — że poprzez sam układ samogłosek a, o, e, Blok uwydatnia całą niedzę, całą beznadziejność najemnej pracy w ustroju wyzysku i bezprawia. Czy nie widzisz, że te powtórzenia słów odgrywają kolosalną rolę w emocjonalnym oddziaływaniu wiersza, że wyrażają pogardę Bloka i jego bunt?

Nie zawsze się z nim zgadzałem, nie zawsze zresztą miał słuszność w sposobie motywacji, ale miał rację głębszą — rację trzeźwej, nieomylnie oceny społecznego oddziaływania pisarza i jego dzieła.

Podobnie było z Grinem. Było to, o ile się nie mylę, jesienią 1937 roku, gdy po raz pierwszy zarządzono w Warszawie próbną alarmy przeciwlotnicze. Mieszkałem wówczas na Narbutta, w mansardowym pokoju willi, która należała do matki Stefana Napierkiewicza. Dwa niewielkie okienka wychodziły na wiewniący ogród. Było to pod wieczór. Właśnie ogłoszono alarm. Aby nie zaciemniać okien, umieściliśmy pod stołem przykrytą jakąś grubą chustką lampę i usiedliśmy razem z Frankiem obok, na podłodze. Opowiadał nam o twórczości Grina. Mówił o noweli „Szczury“. Jak sobie teraz umyślami,

przypominając sobie treść tego opowiadania, jest to utwór pisany pod wpływem E.T.A. Hoffmana i Poeo, gdzie atmosfera niesamowitości przeniesiona została w okres pierwszych lat po rewolucji październikowej. Tę właśnie atmosferę niesamowitości, atmosferę wyczekiwania na wielki kataklizm historyczny, w obliczu którego staliśmy podówczas, umiał wytworzyć Franek opowiadając o dziele pisarza z okresu innego wielkiego przełomu. Opowiadaniem swoim w niezwykłej sytuacji pierwszego zaciemnienia wywołał w nas takie uczucie grozy, że później już, w latach okupacji, gdyśmy wspominali to spotkanie, stwierdzaliśmy razem z Frankiem, że dla nas wojna zaczęła się od tego wieczora.

Potem przyszła wojna naprawdę. Wiosną i lato 1941 roku spędził Siedlecki ze mną w Gólkowie pod Warszawą. Był już wtedy ciężko chory. Przez zimę i wiosnę 1940 roku pracował jako urzędnik w szpitalu żydowskim na Czystem. Póki jeszcze ghetto było otwarte, jeździł tam codziennie, nie tylko aby pracować w kancelarii, ale aby ratować i pomagać. A podczas jednej z licznych, wielodniowych dyskusyj, tym razem o bohaterstwie, uparcie broił stanowiska, że bohaterstwem jest tylko walka czynna, z bronią w ręku.

W czerwcu 1941 r. przez Piaseczno i Gólków szły wojska niemieckie na wschód. Siedlecki chodził podniecony, przejęty głęboko, przekonujący wszystkich, że właściwie, jedynym rozstrzygnięciem wojny musi nastąpić w Rosji, że nie Anglia i nie Ameryka, lecz Związek Radziecki zadecyduje o zwycięstwie. Nie zachwyli go w tym przekonaniu ani pierwotne przewagi armii hitlerowskich, ani panujące wokół nastroje. Częściej tylko niż dotąd wyrwał się do Warszawy, nie mogąc długo usiedzieć na miejscu bez najświeższych wiadomości, bez kontaktów.

Już późną jesienią, po jednej z niezliczonych gryp, która go zatrzymała w Warszawie, po pierwszym zapaleniu opłucnej, gdy zerwał się przedwcześnie z łóżka, aby ratować Dawida Hopenszlana, który przyjechał do Warszawy po ucieczce z ghetta lwowskiego, choroba Franka wzmożła się tak gwałtownie, że nie było mowy o jego powrocie na wieś.

Ale nawet w ostatniej chorobie, Franek nie przestawał żywo interesować się nie tylko wydarzeniami politycznymi, nie tylko losem najbliższych przyjaciół, lecz w dalszym ciągu sprawami, które go całe życie pasjonowały. W ostatniej ze mną rozmowie wypytywał o wspólnych przyjaciół, a potem mówił o Dickensie, o konstrukcji jego powieści. W przeddzień śmierci musiał doświadczyć jeszcze jednej niemieckiej rewizji. Tyle tylko, że hitlerowscy żandarmi, którzy poszukiwali jego ukrywającego się wówczas brata Krzysztofa, nawet oni wycofali się, widząc, że umiera.

2.

To wszystko, co powiedział Siedlecki w zakresie teorii przekładu poetyckiego zawiera się w szczytnych ramach kilkuset wierszy druku i składa się z esaju pt. „Przekłady z rosyjskiego“, drukowanym w zeszycie LXXVI „Skamandra“ z listopada 1938 roku z dużej recenzji z „Lutni Puszkina“, drukowanej w numerze 25 (711) „Wiadomości Literackich“ z 1937 r. pt. „Tuwim a dziedzictwo Puszkina“, oraz z dwóch krótkich omówień przekładów „Demona“ Lermontowa, drukowanych również w „Wiadomościach“ w latach 1937 i 1938. Na pozór jest to niezmiernie mało, w rzeczywistości jednak w tych dwóch artykułach zawarty jest zarys zupełnie nowego kierunku w polskiej literaturze dotyczącej teorii przekładu poetyckiego. Do tej dziedziny twórczych badań Siedleckiego można by w pewnym stopniu zastosować czterowiersz Feta o twórczości Tutczewa:

Muza, prawdu sobljudaja,
Gładit, i na wiesach u niej
Wot eta kniżka niebolšaja
Tomow priemnożnich liżeliej.

Jeśli z formalnego punktu widzenia przytoczone tu zdanie uznamy za przesadę — z tego, co napisał Siedlecki w zakresie teorii tłumaczeń wątpię, czy udałoby się zrobić nawet broszurę, to pod względem znaczenia, jako zapoczątkowanie nowych badań w tej dziedzinie — porównanie przesydanym już się nie wydaje. Teorie, jaką da się wyluskać z artykułów Siedleckiego, nazwałbym socjologią przekładu. Na pytanie co to jest socjologia przekładu, czego dotyczy, najlepiej odpowie nam sam Siedlecki pisząc na wstępie do artykułu w „Skamandrze“:

„Wbrew sugestiom, płynącym z ogromnej większości prac (od specjalnych ksiązek do drobnych recenzji) zajmujących się przekładami, kwestia artyzmu, precyzji itp. tłumaczenia bynajmniej nie jest przedmiotem nie wyczerpuje; obok techniki, obok wykonania przekładu, wysuwa się nie mniej w pewnym sensie złożony i doniosły zespół zagadnień doboru, obok spraw natury „artystowskiej“ — rzemieślniczej — zagadnienie artystyczne — ideologiczne, a szerzej — w ogóle ideologiczne postawy tłumacza“.

Widzimy tu jasne zakreszenie ram badawczych. Zagadnienie postawowe zostało wyraźnie i w dalszym ciągu artykułu Siedleckiego zostanie dokładnie omówione.

Za teren badań obrał sobie Siedlecki przekłady z poezji rosyjskiej od pierwszych lat

niepodległości po rok 1936. Historia tych przekładów stanowi świetny materiał dla podobnych badań, gdyż zabiega się ona wyraźnie o wydarzenia polityczne, co Siedlecki, pisząc w 1936 roku, musi przemilczeć, dając jedynie aluzje do tego prostym zestawieniem dat.

Zestawienie to jest uderzające. Nasilenia ruchu przekładowego dają się zaobserwować w pierwszych latach po rewolucji październikowej, w okresie krótkotrwałego flirtu sanacji ze Związkiem Radzieckim, upamiętnionego numerem sowieckim „Wiadomości Literackich“, oraz w ostatnich latach przed wojną, gdy w Polsce budzą się dążenia jednolitefrontowe.

Toteż Siedlecki, omawiając zagadnienie doboru przekładów, z naciskiem zaznacza, że „produkcja tłumaczeniowa wykazuje maksymalne oderwania od współczesnej twórczości poetyckiej ZSRR“, a kilkanaście zdań dalej stawia zarzut, że urzędowa rusycystyka nasza „woli zajmować się raczej aktualnymi problemami poglądu na świat Lwa Tolstoja, niż współczesną literaturą i kulturą sowiecką“.

Siedlecki wielokrotnie zaznacza, że tłumacz nie ma prawa pracy swej traktować jako rozrywki, że „produkcja tłumaczeniowa wykazuje maksymalne oderwania od współczesnej twórczości poetyckiej ZSRR“, a kilkanaście zdań dalej stawia zarzut, że urzędowa rusycystyka nasza „woli zajmować się raczej aktualnymi problemami poglądu na świat Lwa Tolstoja, niż współczesną literaturą i kulturą sowiecką“.

Zagadnienie więc sprowadza się do dwóch punktów zasadniczych: po pierwsze — stosunek tłumacza do zapotrzebowania społecznego w sensie rozszerzania terenów poznawczych w zakresie literatury obcej; po drugie — wybór przez tłumacza takich a nie innych utworów literatury obcej. Dopiero na marginesie rozpatruje Siedlecki sprawy wierności przekładu, i to nie wierności formalnej, ale tej, której niedotrzymanie nazwałbym kiedyś zdradą klasową tłumacza. Widzimy więc, że stosunek Siedleckiego do całokształtu zagadnienia związanych z przekładem poetyckim jest absolutnie pozbawiony cech formalizmu. Jak ujrzymy później, w dociekaniach jego, wyposażonych w świetnie rozbudowany aparat formalny, aparat ten odgrywa rolę narzędzia pomocniczego, staje się skałkiem, instrumentem badawczym. Nie przekształca się on nigdy w cel sam w sobie — Siedlecki nie liczy zgłosek i nie wystukuje palcem po stole akcentów, aby wytknąć tłumaczowi zażamanie metru, za to bardzo uważnie śledzi zażamanie ideologii tłumaczonych wiersza w świadomości tłumacza i w jego dziele.

Zastosowanie metody socjologicznej do przekładu poetyckiego nie jest u Siedleckiego oryginalne, zasadniczy zarys socjologii przekładu stworzył krytyk rosyjski Kornij Czukowski w wielokrotnie przedrukowywanej pracy pt. „Iskusstwo pieriewoda“ („Sztuka przekładu“). Wiele przytoczonych mógł również znaleźć Siedlecki w książce Żirmunskiego „Goethe w Rbjsji“ oraz w broszurze A. Fiodorowa „Prjomy i zadaci chudożestwiennogo pieriewoda“ („Sposoby i zadania przekładu artystycznego“). Zastępą Siedleckiego jest przeniesienie tych badań na grunt polski, gdzie do tej pory panował system prymitywnego opisywania, a w najlepszym razie czysto formalistyczne rozpatrywanie przekładu drogą porównywania go z oryginałem bez wyciągania jakichkolwiek ogólnych wniosków. Zamiast mówić o wierności ideologicznej, mówiono (i jeszcze dotąd się mówi) o zachowaniu czy niezachowaniu przez tłumacza jakiegoś „ducha“ utworu, ale jak się odkrywa obecność tego ducha, jakimi czarami, czy zaklęciami magicznymi docieka się, czy to jest ten sam, czy inny duch — tego nikt z krytyków nie wiedział. Siedlecki bez żadnych egzorcystycznych wypędził duchy z teorii przekładu poetyckiego, tak, że dzisiaj straszą one już tylko w pracach niektórych profesorów.

Główną walkę w obronie obowiązku przestrzegania przez tłumacza wierności ideologicznej stoczył Siedlecki z Łobodowskim i K. A. Jaworskim. Stwierdzając u obu tych tłumaczy zastąpienie wszelkich sprawdzianów obiektywnych wewnętrznymi — subiektywnymi „upodobaniami“, stwierdzając dalej, że dobor tekstu tłumaczonych znacznie pełniej w znacznie bardziej jaskrawym sposobie odsłania postawę ideologiczną tłumacza, niż wybór



oraz potraktowanie tematu przez autora oryginalnego, Siedlecki wyraźnie oskarża Łobodowskiego o wsteczność, w samym doborze tłumaczonego przez niego tekstów widząc potwierdzenie, niejako dowody rzeczowe fałszywej postawy tłumacza.

Ani Lermontow, ani Blok, ani też Jesienin nie byli wstecznikami, przeciwnie, całokształt ich twórczości, główne jej twórczości dominanty są wyraźnie postępowe. Ale zestawienie tych poetów przy odpowiednim doborze tekstów może stworzyć sugestię wręcz fałszywe w stosunku do tych poetów, a wyraźnie świadczące o wstecznej ideologii ich tłumaczy. Zresztą twórczość każdego prawie poety o szerokiej skali tematycznej można by spreparować w podobny sposób. Byli już tacy, którzy nie tylko z Puszki robili zawziętego gloryfikatora carysty, a z Mickiewicza patrona endecji, ale z wielu poetów bardziej jednolitych w wyrazie. Toteż gdy za zastęp słusze Siedlecki pochwala Tuwimowi wysunięcie w „Lutni” na pierwszy plan utworów o charakterze rewolucyjnym i humanistycznym, Łobodowskiemu zarzuca taki wybór i układ wierszy Bloka, Jesienina i Lermontowa, które z gruntu fałszywie przedstawiają tych poetów. Jedyną więc bodaj zasługą Łobodowskiego - tłumacza jest ujawnienie prawdziwej, niezamaskowanej postawy Łobodowskiego - człowieka.

Jeśli chodzi o Jaworskiego, to jego „umilowania” — zdaniem Siedleckiego — w osiemdziesięciu procentach pokrywają się z umilowaniami Łobodowskiego - tłumacza. Nie więc dziwnego, że nazywa go Siedlecki paseistą. Jest jednak sprawiedliwy, przeciwstawia obu tych tłumaczy pod względem ich stosunku do tłumaczonego dzieła. Podczas gdy Łobodowski odznacza się wybitnie nonszalanckim stosunkiem do oryginału i stał wywodzi się jego wyraża, oczywiście dla każdego nieuprzedzonego czytelnika wsteczna teoria ekwiwalentów, to Jaworskiego cechuje zamierzona korność wobec oryginału. W imię sprawiedliwości muszę tu przede wszystkim zaznaczyć, że uwagi Siedleckiego wobec pracy Jaworskiego jako tłumacza, słuszne w roku 1936, musiałyby dzisiaj ulec bardzo poważnej korekturze. Zasługi Jaworskiego jako tłumacza kierującego się — z większym lub mniejszym powodzeniem, z większym lub mniejszym smakiem artystycznym — właśnie intencjami poznawczymi, dążeniem do zapoznania czytelnika polskiego właśnie z jak największą ilością dzieł poetów słowiańskich — są niezaprzeczalne. Sądziłbym raczej, że można by mu zarzucić zbyt dużą rozpiętość skali, zbyt małą selektywność artystyczną — ale to już nie należy do naszego zasadniczego tematu.

Bardzo dokładna analiza kilku tłumaczeń „Jesiennej miłości” Bloka służy Siedleckiemu nie tylko do wykazania nonsensu wielokrotnego tłumaczenia tego samego utworu z „umilowania”, czy też z chęci współzawodnictwa, ale również do wysunięcia tezy o zdradzie społecznej tłumacza.

3.

Też inną, równie ważną w całokształcie zagadnienia, a dotyczącą zgodności ideologicznej tłumacza z autorem, potwierdzenia przez przykład twórczości oryginalnej tłumacza-poety rozwija Siedlecki w artykule pt. „Tuwim a dziedzictwo Puszkina”.

„Kto uważnie przeszedł drogę Tuwima od diabolicznego „Czyhania na Boga” do „Treści gorącej”, od „Skwarnej śmierci” do „Balu w Operze” (balu w czasie dżumy), kto... — pisze Siedlecki — zdołał dojrzeć w poezji Tuwima dramatyczne, zaciekle zmagające się dwu wrogich sobie żywiołów: triumfalne rozjaśnianie się Tuwimowego spojrzenia na świat i ponowne — pono coraz rzadsze, coraz krótsze — kapitulacje przed upiorami... kto dojrzał to wszystko, dla tego tuwimowska „Lutnia Puszkina” nabiera nowego sensu, nowej treści”.

Przeciwstawiając słowu-aluzji, słowu-ewokacji, środkowi oddziaływania emocjonalno-muzycznego w poezji symbolistów — słowo jako narzędzie kształtowania „rzetelnego obrazu rzeczywistości w poezji Puszkina”, Siedlecki ustala styżne twórczości Tuwima z dziedzictwem puszkiniowskim.

„Stycznymi tymi są: konkretność wizji poetyckiej jej bezpośredniość, przełamywanie mglistych aluzji, podejrzanej „nastrojowości”, „magii muzycznej”.

Słusznie twierdzi Siedlecki, że ludziom odwracającym się tchórzliwie od rzeczywistości, „znieszkadzającym ją obłędnie lub wstydliwie ją przesłaniającym, Puszkiniem i jego perfidnych zachwyty jest obcy”. Również i Tuwim marzył od dawna o jasnym widzeniu świata, o oczach jak płomień i rekach jak miecze, o tym, by egzorcyzmami bić szatana. „Pod ciemnym konkretnym słowem spod maski szatana wyłania się zupełnie już „tużemna”, „doczesna” postać Wielkiego Pantokratora. Napięcie wyładowuje się w zdrowym, niepowstrzymanym śmiechu”.

Puszkini nigdy nie wierzył w czorta i serdecznego potężnego śmiechu zazdrości mu cała Rosja. Śmiał się z głupców, szubrawców i kanali wielkiego, rosyjskiego imperium. Śmiał się z tych, z kogo się śmiać nie wolno. Śmiech jego — wedle słów Siedleckiego — „jest nieśmiertelny i dziś wspiera nas, pokrzepia i uczy — śmiać się. Mądrze, wesoło śmiać się”.

W tym śmiechu, w jego sile morderczej widzi Siedlecki nić łączącą „Lutnię” z „Jarmarkiem rymów”, z „Balem w operze”. Wi-

dzi nić tę w przypisku Tuwima pod przelozoną serią epigramatów Puszkina — „Przełożył z satysfakcją Julian Tuwim”.

Celowo stosunkowo obszernie stręściłem tu tok rozumowania Siedleckiego, który poprzez wybór tłumaczonego poety starał się dopatrzeć krytyki panującego ustroju społecznego w dziele oryginalnym tłumacza. Podobną, choć znacznie bardziej nieśmiałą postawę wobec współczesnej mu rzeczywistości wykazał w swoim czasie Syrokomla, tłumaczając Niekrasowa.

Nie mówiąc już o analogiach w zakresie twórczości oryginalnej, w dalszym ciągu swego artykułu Siedlecki dowodzi ideologicznej współzależności pomiędzy poetą a jego tłumaczem na terenie samej „Lutni”, współzależności przejawiającej się zarówno w doborze tekstów, jak i w przekładach.

Przede wszystkim krytyk zwraca uwagę na to, że w „Lutni”, która zawiera zaledwie dziesięć procent utworów Puszkina, nieproporcjonalnie zagęściły się wiersze o problematyce współczesnej, a zwłaszcza utwory dotyczące roli poety w społeczeństwie. Rozprószone w ogromnym dorobku poetyckim Puszkina, w „Lutni” stają się czynnikiem konstruktywnym, świadczącym o wyraźnym nastawieniu tłumacza. „I już tylko naturalnym

uzupełnieniem ich jest „Wolność” — pisze Siedlecki — i unicestwiający epigramaty, które często, podobnie jak i w twórczości Tuwima, niepostrzeżenie a organicznie wrastają w poezję „poważną” („Pomnik” i „Rodowód”).

W tym dopiero świetle nabiera innego zupełnie znaczenia wielokrotnie zaznaczone przez krytykę zdynamizowanie przez Tuwima poezji Puszkina. To nastawienie tłumacza wykazuje Siedlecki w analizie samych przekładów, w zestawieniu oddziaływania emocjonalnego choćby takich słów jak rosyjskie „wielmoża” z „jaśnie państwem”, tak często powtarzającym się w „Lutni”.

Siedlecki przypomina, że wyraz ten brzmi dla nas bezwzględnie dosadnie, bardziej gwałtowniej, niż „wielmoża” dla Rosjan, że zdanie „Błyskotki noszę dla jasnych panów” przypominać nam się musi jako tradycyjne skojarzenie związane z tym słowem.

Odarcie z egzotyki, zhumanizowanie „Anczara”, nadanie mu tonów niemalże niekrasowskiej proklamacji to jeszcze jeden dla Siedleckiego dowód zaktualizowania Puszkina przez Tuwima.

W r. 1937 poeta w Polsce w twórczości oryginalnej nie zawsze mógł powiedzieć to

wszystko, co miał do powiedzenia. „Bal w operze” Tuwima, był poematem, który przed wojną nie mógł być drukowany, który krążył jedynie w odpisach. W tym świetle nie wyda się nam może zbyt patetyczne zakończenie artykułu Siedleckiego o „Lutni”, które tu cytuję w urywkach:

„Zatrącen; w odnętach ciemności, zgubiłszy swój głos... Inni zaś za mną strawy i za miejsce przy ognisku zdradzili nas, sprzedali szpadz swych słów. Nie umiemy jeszcze godnie odpowiedzieć rzeczywistości. Szukamy utraconego głosu u obcych, zwołujemy się pożyczonymi słowy...”

W tym również świetle upadają wszelkie formalne zarzuty wobec tłumacza, gdyż funkcja społeczna tłumaczonego przez niego dzieła jest w istocie rzeczą najważniejszą. Tak właśnie rozumie rolę tłumacza Siedlecki. Pisarz swój stosunek do zagadnień społecznych wypowiada nie tylko przez swą twórczość oryginalną, lecz i poprzez autorów, jakich tłumaczy, poprzez dobór ich utworów, poprzez stosowane przez siebie słownictwo. Wypowiedzenie po raz pierwszy w Polsce tego prostego, zdawałoby się, sformułowania jest niezaprzeczalną zasługą Franciszka Siedleckiego.

Seweryn Pollak

ADOLF SOWIŃSKI

LAUDATOR TEMPORIS ACTI

Nie kusź mnie już pisanie kwiecistych impresji krytycznych o słońcu Prowansji, o starym pułchacu ze strychu i o pięknej Arleżance, gdy po latach, po raz pierwszy od czasów szkolnych, biorę ponownie do ręki „Listy z mojego młyna” Alfonsa Daudeta**). Ta uznana za wzorową i tak popularna książka, że cytaty z niej trafiały na karty grammatyk szkolnych, jest inna, bardzo inna, gdy na nią spojrzeć okiem nie pozbawionym doświadczenia. Jest jeszcze czarująca, ale już za naiwna, za słodka i za bardzo felietonowa. Jeszcze potrafi wzruszać jakimś obrazkiem, skomponowanym na wzór mitu o Filemonie i Baucydzie, a już dostrzegamy w niej — niby głębokie rysy — zbyt bezkrytyczne sympatie, zbyt entuzjastyczne zachwyty dla feudalnej przeszłości, zamaskowanej malowniczą legendą. Nie można się pozbyć wrażenia, że są to sublimowane stylizacyjnie bajki i powiastki po katolicku moralne, które opowiadał nam w kątku przy kominku dla tak zwanego uchronienia przed światem, gdyśmy byli krnąbrnymi siedmiolatkami. Bal Quantum mutati ab illis...

Alfons Daudet urodził się w roku 1840, umarł w 1897. Miał lat dwadzieścia dziewięć, gdy opublikował „Lettres de mon moulin”, stanowiące zbiór obrazków raczej niż nowel z jego rodzinnej Prowansji. Balzac nie żył już podówczas od kilkunastu lat, jeszcze dawniej nie żył Stendhal, żył natomiast obywatel bracia Goncourt, których naturalizmowi Daudet po trosze holdował, publiko-

*) Chwalca minionego czasu.

** Alfons Daudet: „Listy z mojego młyna”. Str. 184 i 2 n. Przetłóżył Roman Koloniewicz. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”, Warszawa, 1948.

wał swoje pierwsze utwory Emil Zola, doskądny rówieśnik Daudeta, a szczytu sławy był Flaubert już po ogłoszeniu „Madame Bovary” i „Salammbo”. Rok wydania „Listów z mojego młyna” był jednocześnie rokiem, w którym wyszła „L'Education sentimentale”, obrazująca gorące społeczeństwo francuskiego po utracie nadziei, związanych z Rewolucją Lutową i rokiem 1848. Wśród narastającej problematyki i krytyki społecznej w prozie francuskiej Daudet nie odnalazł jeszcze swego miejsca, jak go zresztą do końca życia na dobru nie odnalazł, poddając w swych późniejszych utworach, chociażby w „Tartarinie z Tarasconu”, satyrze i pamfle-



Alfons Daudet

towi raczej jakiś fikcyjnie ogólnoludzki typ, niż człowieka sobie współczesnego, ukształtowanego przez konkretne warunki społeczne i wyrosłego z konkretnych okoliczności historycznych.

W swych obrazach Prowansji dobry Daudet o złotym sercu idzie za starym schematem uczuciowym i gloryfikuje przeszłość chyba jedynie dlatego, że wiąże się z nią romantyczne wyobrażenia omszałych zamków i wierności serc, jakby to nazwał Goethe. Nie jest epikiem, jest laudatorem temporis acti, a z tego wynikają poważne konsekwencje moralne, bardzo podobne do tych, które w szereg lat później zaprowadziły jego syna, Leona Daudet, w objęcia skrajnego rojalizmu i antysemityzmu, w szeregi osławionych przed drugą wojną światową bojówek „Les Camelots du Roi”.

11756-A

Rodowód antysocjalistycznej i imperialistycznej „Ligue d'Action Francaise” wraz z bratnimi jej światopoglądami zaczyna się głęboko w historii i na terenie literatury wypluwa z antypickiego, a tym samym nieobiektywnego stosunku do przeszłości. Nikt Homerowi, jako epikowi nie zarzucił, że jest tylko chwalcą minionych czasów, chociaż po trafi je również pochwalić. Jego Achilles czy Agamemnon są i wielcy i marni, biją się jak bogowie, ale kształtują swój czas na zasadzie ludzkich pragnień i zawiści. Tu nie ma tego fałszu uczuciowego, który tak często razi nas u Daudeta. Tym gorzej, jeżeli postawa, która by zasługiwała na miano fałszu uczuciowego, jest szczerą i wynika z utrwalonych nawyków psychicznych, bo wtedy jej konsekwencje praktyczne (czytaj: polityczne) łatwo prowadzą do obskurantyzmu, do wsteczności, do fanatyzmu. Nasi przedwojni laudatorzy temporis acti byli najdoskonalszym materiałem na fałszywistów.

Oczywiście nie trzeba w tej interpretacji odnośnych zjawisk przesadzać. Indywidualnie i psychologicznie rzecz biorąc, pochwała królewskiej przeszłości jest u Daudeta wynikiem młodościowej wrażliwości poetyckiej na malowniczość życia dawnej Prowansji. Psychologie zyskują swój sens moralno-polityczny dopiero w dialektyce rozwoju dziejowego. Emocjonalna siła dawności, której Daudet z takim oddaniem podlega, działa na nas całym obszarem ubiegłych tysiącleci, uświetniając zarówno awinińskich papieży jak i demokrację ateńską. Ta sprawa wymagałaby jeszcze specjalnych badań psychologicznych, wymagałaby naukowego ujęcia zagadnienia, w jakim stopniu nasz emocjonalny stosunek do malowniczych stron życia przeszłości nawet feudalnej jest skutkiem nawyków kulturalnych, a w jakim stopniu pewne zjawiska kulturalne i estetyczne powtarzają się w każdym ustroju, biorąc pod uwagę fakt istnienia pewnych — jak się zdaje — stałych czynników w naturze ludzkiej.

W obecnym stadium rozwoju psychologii jako nauki możemy sobie najwyżej pozwolić na postawienie tego rodzaju zagadnienia. Ale niezależnie od tego przysługuje nam prawo i obowiązek wybierania z przeszłości i emocjonalnego nasświetlania tych epok i zjawisk, które dialektyka dziejowa łączy z rodowodem naszych czasów i które mogą przyczynić się do urzeczywistnienia zadań naszych czasów. Królewska i feudalna przeszłość jest tu na pewno bezowocna, chociaż wydała Tristana i Izoldę, a Rolandowi pozwoliła dokonać cudów bohaterstwa i wierności w dolinie Roncesval. Zanim te sprawy ustali psychologia, musi je rozstrzygnąć dialektyka, a ta przemawia przeciwko Alfonsowi Daudet. Ta ukazała już historyczne konsekwencje jego bogobojnych podziwów i uniesień.

Wymieniony przekład „Listów z mojego młyna” jest dziełem Romana Koloniewicza.

Adolf Sowiński

KOMITET WYKONAWCZY
„ROKU CHOPINOWSKIEGO 1949”
I ZWIĄZEK KOMPOZYTORÓW POLSKICH

ogłasza konkurs kompozytorski na utwory solowe kameralne, symfoniczne i wokalne. Kompozycje te powstać mają dla uczczenia pamięci Fryderyka Chopina w związku z uroczystościami w roku 1949. Przedmiotem konkursu mają być utwory muzyczne o formie dowolnej:

a) na fortepian solo

b) kameralne

c) pieśni z towarzyszeniem fortepianu lub orkiestry do tekstów literackich związanych z życiem lub twórczością Fr. Chopina.

d) symfoniczne lub fortepianowe z orkiestrą.

Nagrody:

w grupie a)	I nagroda	150.000 zł.
	II "	100.000 "
	III "	75.000 "
w grupie b)	I nagroda	150.000 zł.
	II "	125.000 "
	III "	100.000 "
w grupie c)	I nagroda	100.000 zł.
	II "	75.000 "
	III "	50.000 "
w grupie d)	I nagroda	175.000 zł.
	II "	150.000 "
	III "	125.000 "

Skład Sądu Konkursowego. Zbigniew Drzewiecki, Zygmunt Łatoszewski, Jerzy Lefeld, Zofia Liśsa, Piotr Perkowski, Stanisław Szpiński.

Kompozycje przepisać przez kopistę w zalakowanych kopertach opatrzonych godłem, z drugą wewnątrz zalakowaną kopertą z na-

zwiskiem i adresem kompozytora należy nadsyłać do dnia 15 marca 1949 r. pod adresem Związku Kompozytorów Polskich Sąd Konkursowy, Warszawa, ul. Młodzieży Jugosłowiańskiej 2. Wynik Konkursu zostanie ogłoszony dn. 15.IV.1949 r.



SATURNIN DĄBROWSKI

Podłoże ideowe powieści wiejskich Kraszewskiego

PRZED ZJAZDEM LITERATÓW

Ja otrzymałem zaproszenie. Gdy czytałem to, co tu napisałem — moje przygotowania do podróży są już na ukończeniu, a dwudziestego stycznia będę w jednym z największych naszych portów morskich, w starodawnym Szczecinie. Tam właśnie odbędzie się w tym roku Walny Zjazd Pisarzy Polskich.

Na zjeździe takim będę nie po raz pierwszy. W zeszłym roku byłem na obradach literatów we Wrocławiu, dwa lata temu w Łodzi. Ale za każdym razem wybieram się z nowymi myślami — gdyż kolejne te zgromadzenia nie są do siebie podobne. I upewniam was, że jest to ich wielka zaleta. Upewniam was, że nie po to rokrocznie spotykają się pisarze, aby się przywitać i pogawędzić o swoich sprawach prywatnych. Każdy z kolejnych zjazdów stawia sobie nowe zadania do spełnienia, każdy coraz wyraźniej określa miejsce pisarzy w ogólnym nurcie postępu społecznego, który także i charakter kultury naszej przekształca, aby uczynić ją bardziej ludzką, powszechniejszą.

A więc oto doczekaliśmy się czasów, w których w ten sposób mogę o tych sprawach mówić. Doczekaliśmy się czasów, w których pisarz, sięgający swą wyobraźnią ku lepszym, sprawiedliwszym kształtom życia społecznego, nie jest już otoczony zewsząd tym wszystkim, z czego musiał kpić i czego nienawidził, ale przeciwnie — razem z tą jego wyobraźnią płynie szeroko cała wyzwolona siła społeczna tych, których niegdyś bronili piórem samotnie, a którzy teraz stali się jego busolą.

Przypominam wam, jak często w historii właśnie pisarze, właśnie poeci byli najwłaściwymi sojusznikami postępu społecznego. Przecież nie z innego powodu oddajecie dziś hołd Mickiewiczowi. Ale rola pisarza jest zbyt poważna, aby była łatwa. Toż nie bądźcie niecierpliwi, gdy wyobraźnią długą wybiera spośród różnych dróg, aż wybierze drogę najcelniejszą i wszystkim tworzącym postęp wspólną. Pisarz, tkwiący głęboko swą sztuką w prawdziwym nurcie historii ludzkiej — w ostatecznym rezultacie pracy swego życia nie zbłądził. Tylko ci, którzy odwracają się od historycznej prawdy, którzy w ogóle nie chcą jej szukać, skazują się sami na zagładę i zapomnienie.

Jest jeden prawdziwy bieg historii: Jej bieg społeczny i sprawczy w swoich przemianach. Znamy etap, w którym żyjemy. Ale pisarz często nie gorzej i ekonomista zajrzeć potrafi i ku przyszłym czasom. Najgłębiej ludzka, najszlachetniejsza wyobraźnia pisarzy od dawna już wiązała się w dalekich perspektywach z tą ideą i z tą praktyką, która czyni człowieka pracującego ustawodawcą porządku społecznego i twórcą kultury.

I dzisiaj — wywodząca się z tych tradycji — pozycja pisarza, jaką zajmuje w kształtującej się ciągłej historii postępu społecznego, musi być — w granicach swobody dla indywidualności artystycznej — określona wyraźnie. Z niej wynikają wszystkie obowiązki pisarza i prawa.

Obowiązki jego — to dalsza głęboka solidarność z historycznymi dążeniami człowieka pracującego, solidarność wraz ze wszystkimi jej konsekwencjami w działalności literackiej.

Jego prawa — to uznanie jego roli, jako roli głęboko społecznej.

Jeżeli Zjazd w Szczecinie ma być krokiem naprzód — to o tym właśnie powinno się tam — wśród pisarzy z całego kraju — mówić przede wszystkim: O dalszych nowych obowiązkach pisarzy i o ich prawach. Zjazd ten odbędzie się przecież w parę tygodni po wielkim akcie zjednoczenia ruchu robotniczego. Zjednoczenie to, umacniając siłę ideologiczną klasy robotniczej, rozjaśnia drogi polityki kulturalnej, przybliża spełnienie się wielkich marzeń o upowszechnieniu kultury.

Obowiązki pisarzy muszą stać się coraz bardziej z tymi przemianami związane, coraz głębiej odpowiedzialne moralnie, zgodnie z najlepszymi postępowymi tradycjami pisarstwa.

Jadę do Szczecina na obrady, na których nie będę siedział z zamkniętymi ustami. Patrząc walizkę podróżną, patrzę wstecz na wszystko, co kiedykolwiek napisałem do tychczas. I cieszę się, że to mnie tak bardzo zobowiązuje do dalszej drogi ku wspólnym celom.

Kandyd

Podłoże romantyczne, aczkolwiek obficie czerpała tematy z motywów ludowych występujących w legendach i baśniach, to jednak do poszczególnych utworów lud i jego sprawy wprowadzała rzadko, ograniczając się do ubocznych postaci, których też nie ukazywała w świetle realistycznej prawdy bytu chłopkiego.

Kraszewski bodaj pierwszy wprowadza do literatury chłopca w jego realnej postaci i w poszczególnych utworach próbuje ująć całokształt sprawy ludowej w jej ówczesnym wyrazie. Do takich jego utworów należy szereg powieści wiejskich, napisanych przed 1863 rokiem.

Stosunek Kraszewskiego do ludu przekracza zakres zwykłego uczuć humanitarnych. Do swych utworów wprowadza bohaterów spośród niżej społecznych nie po to, aby dla nich doli wzbudzić jedynie litość czytelnika. Pragnie przede wszystkim wydatnie tkwić w ludzie wartości twórcze i na tym podłożu podejmuje walkę w obronie godności ludzkiej chłopca.

Pisarz wierzy w lud. Każda postać chłopiska, wprowadzona do powieści, jest nieskażona, pod względem etyki osobistej i społecznej, pełna wewnętrznej treści duchowej, która stanowi bogate podłoże dla życia kulturalnego. Dla uwydatnienia tych wartości, autor nie waha się przeciwstawiać chłopstwu typów ze sfer wyższych, szlacheckich, całkowicie zwyrodniałych pod względem wartości osobistej i społecznej.

Kraszewski wyczuwał, że wyniosła pozycja szlachty, oparta na przywileju materialnym przy równoczesnym zaprzeczaniu zadań twórczych wobec ogółu — stała się przekazykiem dziejowym. Z tego wyczuwa nie zdolał jednak wyciągnąć konsekwencji dla swego programu społecznego. Nie rozwinął koncepcji radykalnej przebudowy społecznej, a poprzestał tylko na marzeniach o naprawie istniejącego porządku przez harmonijne współzycie dworu z uwłaszczonym chłopstwem.

Kraszewski żył i tworzył w epoce, kiedy warstwa szlachecka wciąż jeszcze uchodziła za bodaj jedyną wyraziście polskiej świadomości narodowej. Wydawało mu się, że stan taki będzie trwał dłużej i dopiero stopniowo może być przekształcony przez wprowadzenie ludu na wyższy stopień wyrobienia cywilizacyjnego. Lecz w tym stanowisku pisarz nie jest konsekwentny i niejednokrotnie sam całkowicie podważa jego rację.

Zdaje sobie bowiem sprawę z tego, że świadomość narodowa, reprezentowana przez warstwę szlachecką jest ułomna, że zacieśnia się głównie w ramach stanowych przesądów i oparta jest na uczuciowym tylko przywiązaniu do tradycji (również szlacheckich), brak jej natomiast twórczego natchnienia, które torowałoby nowe drogi przyszłości.

Rzecz charakterystyczna, że nawet w powieści „Ładowa Pieczara” (1852), gdzie Kraszewski rozwijał w sposób pozytywny swój program oparty na współdziałaniu chłopów z dworem — postawa szlachty przedstawiona jest w roli zgola biernego, poprostu dekoracyjnej. Zadania społeczne dziedzica sprawozdane zostały do tego, że jest on ludzko dobry i wspaniałomyślny, natomiast ze swej strony nie wnosi żadnej inicjatywy do miejscowego życia zbiorowego. Pan po staremu gospodaruje na folwarku, wyręczając się od danymi i zaufanymi wódozami, a cały czas bezrozkosno spędza na łowach. Ta niewinna „namiętność” ma tę dobrą stronę, że odwołuje dziedzica od wtrącania się do spraw ogólnych. Natomiast życie publiczne wsi oddane jest całkowicie inicjatywie chłopskiej gromady, która reguluje je według własnych praw przekazywanych drogą tradycji, jeszcze od czasów starosłowiańskich. W powieści, która ma obrazować realizację programu społecznego autora — twórcza tylko jest gromada chłopiska. Dwór spełnia rolę symboliczną, ustaloną przez tradycję autorytetu, który umożliwia organizację porządku życia gromadki. Stosunek między dworem a ludem oparty jest na współdziałaniu i wzajemnej pomocy. Znamienne jest jednak, że dysponentem tej samopomocy czyni Kraszewski gromadę — a dziedzica uważa jedynie za patriarchalnego reprezentanta „harmonii społecznej”.

Kraszewski wierzy w tę harmonię społeczną — pragnie ją osiągnąć na podłożu istniejącego układu stanowego. Lecz z drugiej strony sumienne poczucie obowiązku pisarza nie pozwala na zamykanie oczu na te istniejące w życiu realnym fakty, które podważają a nawet unicestwiają harmonię społeczną w ramach ustroju stanowego.

Autor dostrzega przeciwieństwa dojrzejące w stosunkach ówczesnej wsi. Najmocniej uwydatnia to w niewielkim utworze „Budnik”. Bohater tej powieści, Bartosz, pochodzi z drobnej szlachty lecz przez egoistyczne podstępstwa dworu doprowadzony zostaje do roli dewastatora bogactw gospodarczych kraju i zepchnięty na dno nędzy materialnej. Kraszewski do głębi odczuwa tragedię wyrobników dworskich. Wszyscy oni, podobnie jak Bartosz, są ludźmi prostymi a w swej prostocie osobistej na wskroś uczciwymi. Każdy z nich ożywiony jest ambicją, aby był swój oprócz na własnej pracy i unikać wyzysku innych ludzi.

Dwór wykorzystuje przesady stanowe zgniłej szlachty szaraczkowej. W imię fałszywej ambicji podnieca jej antagonizm do chłopca, aby rozbić tym sposobem solidar-

ność podporządkowanych mu najemnych wyrobników i pańszczyźnianych chłopów. Natomiast ze swej strony z „braterstwa stanowego” ziemianie nie wyprowadzają żadnych konsekwencji. Przeciwnie — zubożała brań szlachecką traktują nie tylko jako zaprzędaną sobie siłę roboczą, ale jako ludzi, niewolniczo sobie podporządkowanych. Na takim tle społecznym rozwija Kraszewski dramatyczną akcję swej powieści, przedstawiając, jak lekkomyślny panicz z dworu dla osobistej przyjemności znieważa uczucia rodzinne Bartosza. Wprowadzając typy sprzedajne spośród służby dworskiej (Pawłowa), autor zaznacza, że robotnik „bez koszuli na grzbiecie” z trudem może oprzeć się sieci intryg, zastawionych na niego przez dwór.

pozytywnie sformułowany przez Kraszewskiego program społeczny oparty na harmonijnej współpracy współczesnych raził naiwnością. Istotną jednak wartość ideologiczną koncepcji Kraszewskiego kryje się poza przesłankami realizacyjnymi a ujawnia się w jego wierze, w indywidualne i społeczne wartości twórcze ludu. Wiare tę wyrażał z całą siłą swego talentu, dlatego też przez ogół ziemianstwa uważany był za niebezpiecznego demagoga — rewolucjonistę. Konflikt zaszedł tak daleko, że gdy w roku 1858 rząd carski zalecił komitetowi obywatelskim przygotowanie wniosku w sprawie uwłaszczenia — szlachta nie zwracając uwagi na wysocy umiarkowany program oczyszczania, przedstawiony przez Kraszewskiego, odsunęła go od obrad. Oburzony egoizmem ziemianstwa, pisarz wycofał się od współdziałania w rozwiązywaniu jego spraw publicznych. Na łamach „Gazety Warszawskiej” ogłosił listy, w których potępiał szlachtę za jej egoizm i uchylanie się od obowiązku rozwiązania sprawy włościańskiej „dobrą wolą i dobrym sercem”. Przeciwności „najdłuższym rozmowianiem, przekładającym aby (reforma pańszczyzny) była nam narzucona, niż żeby doznać się miała ofiarą chętną i serdeczną”.

Protesty swoje Kraszewski jeszcze wzmacniał przez wystąpienia literackie. Wówczas to w atmosferze gorących walk polemicznych napisał „Historię kolka w płocie”, gdzie w ostry, pełen gorzkiej ironii, potępił egoistyczne stanowisko, jakie szlachta zajmowała wobec społecznego upośledzenia ludu.

Sam autor „Historii kolka w płocie” traktował ją jako wystąpienie publicystyczne. Charakter taki sprawił, że utwor ten z czasem stracił aktualne znaczenie i utonął w zapomnieniu. A przecież „Historia kolka w płocie”, niezależnie od swego polemicznego nastawienia, posiada wartości, które w sposób dosadny uwydatniają artystę Kraszewskiego. Przede wszystkim wskazać należy na żywe wyczuwanie i plastyczne przedstawienie zjawisk przyrody, jakie rzadko spotyka się w innych utworach tego autora. Poza tym dzieło to posiada doniosłe znaczenie o tyle, że stanowi wyznacznik ideologii autora. To też

dziś powinno ono być zaktualizowane w całej pełni jako pozycja uwydatniająca w sposób najpełniejszy postawę ideową Kraszewskiego. „Historia kolka w płocie” to utwor alegoryczny. Dębcaz na polanie symbolizuje los wielu jednostek spośród ludu, które we własnym środowisku przyrodzonym czerpią siły żywotne i samodzielnie mogą rozwinąć się w potężny twór o rozległych konarach.

Nawet w wypadku, gdy człowiek z ludu wyrwany zostanie ze swego środowiska, stanowi on materiał, z którego w odpowiednich warunkach można wydobyc niepożyte wartości — tak jak ręka artysty uczyniła piękną rzeźbę z dębcaza, który długie lata tkwił jako zwykły kolka w płocie.

Alegorie utworu autor tłumaczy na równoległych opowiadaniach o losach wiejskiego grajaka Zachara, którego talent artystyczny został zmarnowany z winy stosunków społecznych. Zachar bowiem jako syn pańszczyźnianego chłopca nie mógł działać w pełni praw ludzkich, aby kierować swoim losem. Dziedzic rozporządza się jego osobą według własnego wyrachowania. Ponieważ nie widzi żadnej przydatności praktycznej dzwaka, zgadza się na projekt karbowego, aby oddać Zachara do wojska. Służba wojskowa trwała w owych czasach lat dziesięć i dłużej — co równało się wyrokowi śmierci kulturalnej na poborowego. Zachar ratuje się ucieczką, lecz nie znajdując żadnej pomocy. Gdy po bezradnej służbie wraca do rodzinnej wioski, dziedzic łaskawie zabiera go do dworu, aby w chwilach nudy zabawił się muzyką natchnionego artysty. Talent Zachara zostaje zamity i stracony dla społeczeństwa.

Tragedia zaprzeczająca talentów ludowych niejednokrotnie poruszana była w naszej literaturze. Kraszewski uczynił to pierwszy. Aczkolwiek utwor jego nie posiada tak zwartej konstrukcji artystycznej, uwydatnionej mocnym wyrazem w zakończeniu, jak nowela Sienkiewicza, jego podłoże ideowe jest znacznie szersze. „Historia kolka w płocie” to daleko większym niż Janko muzykant” stopniu wyraża wiarę w twórczą moc ludu.

Sienkiewiczowski, „Janko” to wyjątek na wsi a przy tym wiatła istota, która ginie przy łada podmuchu; talent swój mogłaby wykształcić tylko przy łoskiejwie opiece możnych i wspaniałomyślnych. U Kraszewskiego każde wiejskie dziecko to pełen sił żywotnych dębcaz, zdolny do tego, by samodzielnie rozwinąć się w potężny konary.

Akcja powieści wiejskich Kraszewskiego oparta jest na podłożu warunków, które przeszły do historii. Hasła i programy, jakie rozwija autor, dawno straciły aktualną wyrazność, lecz postawa ideowa jego wysłowiona, której wyrazem jest wiara w zdrowie moralne ludu, w jego zdolność twórczą, nadaje takim utworom Kraszewskiego, jak „Historia kolka w płocie”, nieprzemijającą wartość.

Saturnin Dąbrowski

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Biblioteka historyczna: Dr. Helena Rządowska. Stosunek polskiej opinii publicznej do Rewolucji Francuskiej — W-wa, „Książka” 1948, str. 180 i 4 nł.

S PRAWA wpływów i oddziaływań Rewolucji Francuskiej na opinię publiczną innych krajów europejskich, a w szczególności na opinię polską jest rozległym kompleksem zagadnień historycznych, których wyjaśnienie i skomentowanie wymaga niewątpliwie długotrwałej pracy licznego zespołu wykwalifikowanych badaczy. Dr Helena Rządowska, autorka pracy o wyżej wskazanym tytule zrezygnowała świadomie z rozbioru całości zagadnienia, ograniczając się do rejestracji i omówienia wpływów Rewolucji Francuskiej głównie w czasopiśmiennictwie i publicystyce polskiej owych czasów.

Praca Dr Rządowskiej, mimo swego cząstkowego i przybliżonego raczej charakteru, wymagała bardzo żmudnych poszukiwań, wytrwałego gromadzenia materiałów, ich selekcji i wiązania w przejrzystą chronologiczną całość.

Z tej starannie i kompletnie ułożonej całości wyłania interesujący obraz reperkusji wydarzeń francuskich w polskiej opinii publicznej — w tak ważnym dla dziejów naszych okresie, jak Sejm Wielki, Konstytucja Krajowa, drugi rozbiór i powstanie kościuszkowskie. Rzecz jasna, odmienność polityczno-społecznej sytuacji w Polsce i Francji w porównaniu z ówczesną sytuacją Francji powodowała, że płynące z niej rewolucyjne myśli, idee i prądy recypowane były przez polskich publicystów i działaczy przeważnie nie wprost, systemem kopiowym, lecz przetłumaczony się swoiście w pryzmacie naszych dążeń reformatorskich, które miały inne niż we Francji tło i podłoże.

Sens i charakter rewolucyjnych wpływów francuskich na opinię polską zmienił się w okresie lat 1789—1794, zależnie od biegu wydarzeń politycznych w Polsce. Początkowo, wydarzenia francuskie były niezwykłą pożywką ideową do rozważań, refleksyj i dyskusyj w obozie polskiej reformy, który z doświadczeń Rewolucji Francuskiej pragnął wyciągnąć esencje teorii, dających się zastosować i na polskim gruncie. W okresie powstania kościuszkowskiego nie było czasu na spory i dyskusje teoretyczne; wówczas chodziło już o to, czy rewolucyjna praktyka francuska ma być wzorem i przykładem dla

rządu powstańczego, czy metodami jakobinowskiego zdecydowania mają być zwalczani ci, którzy bronią swych interesów kastowych, stawiali w poprzek wolnościowym dążeniom narodu.

Jak słusznie stwierdza autorka omawianej tu pracy, „powstanie kościuszkowskie... było wymownym dowodem, że w Polsce układ sił społecznych inny był niż we Francji, a lud i odłamy radykalne zbyt jeszcze słabe, aby móc nadać powstaniu głęboko rewolucyjny charakter”. Ale niemniej słuszne jest i stwierdzenie inne: „Rewolucja Francuska omotała myśli polską tysiącami niemi, odbiła się echem w najdrobniejszych obywateli życia politycznego polskiego”. Słusznie jako podniósł do czynu dla reakcyjnego szlachcko-magnackiego obozu”. To też — „choć Sejm Wielki i powstanie kościuszkowskie nie uratowały niepodległości... „pozostawły jednak po sobie niepodległościowe i demokratyczne tradycje, które stały się silną podporą w stuletniej walce o wyzwolenie narodu i społeczność”.

b. d.

Ivan Olbracht: Anna - Proletariuszka, powieść o r. 1920, przekład z czeskiego Heleny Gruszowskiej - Dubowej, W-wa, „Książka”, 1948 str. 293 i 3 nł.

T rzydziestolecie 1918—1948 — to okres długiej i mozolnej walki proletariatu czeskiego o pełne wyzwolenie polityczne i społeczne, walki, zakończonych zwycięsko w pamiętnych dniach lutego ub. r., gdy masy ludowe Czechosłowacji, likwidując ostatecznie rządy kapitału, wkroczyły na drogę ku socjalizmowi. Ta walka była tym cięższa i trudniejsza do wygrania, że oprócz przeciwności natury obiektywnej, międzynarodowej i oporu różnej reakcji, trzeba było przezwyciężyć we własnym obozie robotniczym elementy zdrady, tchórzostwa i oportunistów, reprezentowane przez prawicowych przywódców socjal - demokratycznych.

Akcja interesującej, wyrazistej pod względem ideologicznym, powieści Olbrachta toczy się w latach 1918—20, to znaczy bezpośrednio po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Były to właśnie lata twórczego buntu w łonie partii socjal-demokratycznej, lata rewolucjonizowania się mas, którym przyświecał historyczny wzór Przemysłowski. Pod koniec r. 1920 doszło do ostatecznego rozłamu w socjal-demokracji i do utworzenia bojowej, prawdziwie proletariack-

PRZEGLĄD PRASY

kiej partii komunistycznej, która poprzez dzieje republiki burżuazyjnej, okresu monarchijskiego i drugiej wojny światowej kroczyła ofiarnie i nieugięte ku jasno wytkniętym celom wyzwolenia.

Kronikę narodzin czeskiego ruchu komunistycznego zamknął Olbracht w ramach opowieści o córce wiejskiego murarza — Annie, która — przybywszy do Pragi „za służbą” poznała rychło sens podziałów klasowych. Anna znalazła w stolicy nie tylko szczęście osobiste w pożyciu z dzielnym rewolucjonistą, robotnikiem Kronsłym; znalazła też, dzięki zbliżeniu się z jego środowiskiem, szkołę życiowych doświadczeń, budzących instynkt społeczny i samowiedzę klasową.

Powieść Olbrachta reprezentuje dobry gatunek powieści popularnej, dostępnych dla szerokiej mas czytelników. Pewne obciążenia publicystyczne rekompensują się zresztą wplecionym w fabułę pierwiastkiem sensacyjności, ożywającym i urozmaiacającym kronikę politycznych wydarzeń owego okresu. Występujące gdzieś tam braki konstrukcyjne okupuje autor szczerym, szlachetnym liryzmem w przedstawieniu losów głównych bohaterów oraz zdrową, bojową tendencją powieściowej treści.

Duża zaleta powieści jest też prostota i żywość jej stylu narracyjnego.

Przekład polski „Anny Proletariuszki” na ogół staranny i poprawny.

Ankieta „Lidowych Nowin”

„Lidowe Noviny”, gazeta czeskiego Związku Zawodowego Pisarzy, ogłasza co roku ankietę pod tytułem „Najciekawsza książka ubiegłego roku”. Ankieta ta tym różni się od jej podobnych, że oprócz ogólnego wyniku „Lidowe Noviny” drukują in extenso (na kilkudziesięciu stronach) wypowiedzi wszystkich jej uczestników, podając obok imienia i nazwiska autora, miejsce zamieszkania i oznaczone kolejnymi numerami tytuły wyróżnionych książek oraz nazwiska ich autorów. Jest to więc ankieta nieco niedyskretna — ale tym ciekawsza.

A o wyniki ankiety za rok 1948. W ogólnej punktacji pierwsze miejsce zajmują książki Klementa Gottwalda („Dziesięć lat”, „Ze Związkiem Radzieckim na wieczne czasy”, „Naprzód, ani kroku w tył!” i inne), na drugim miejscu widzimy Juliusza Fuczka („Reportaż z szubienicy”, „Kochamy swój lud”, „W kraju, gdzie słowo jutro oznacza wczoraj”). Trzecie miejsce zajmuje „Historia wszechzwiązkowej partii komunistycznej (bolszewików)”, czwarte powieść Marii Pujmanowej „Hra s ohnem”, piąte — dzieło Józefa Stalina („Zagadnienia leninizmu” i inne). Dalej idą książki Zdenka Nejedlégo, Maksyma Gorьkiego, Alojzego Jiraska, Howarda Fasta i Szołchowa.

Wśród uczestników ankiety (w roku 1948 wzięło w niej udział 600 osób) spotykamy wiele znanych w Polsce nazwisk. I tak np. wicepremier Zdenek Fierlinger stawia „Popiół i diament” Andrzeja Głowackiego na trzecim miejscu (po „Historii dyplomacji” Potemkina i „Strogowi” Markowa), minister informacji i oświaty Waclaw Kopecki wymienia: 1) Klement Gottwald: „Naprzód, ani kroku w tył!”, 2) L. Stoll: „Twarzą w twarz z rzeczywistością”, 3) Vavra Drda: scenariusz filmu „Niema barykada”, a znany tłumacz utworów literatury polskiej na język czeski dr. Jan Pilarz wymienia najnowszą wiersze K. I. Gałczyńskiego na drugim miejscu po „Historii partii komunistycznej (bolszewików)”. Wśród literatów i uczonych znajdujemy nazwiska Jana Drdy na pierwszym miejscu, (Klement Gottwald: „Naprzód, ani kroku w tył!”), dalej Z. Nejedlý: „Historia Zv. Radzieckiego”, potem Stoll: „Twarzą w twarz z rzeczywistością”, J. Fuczek „Kochamy swój lud”, Pujmanowa: „Hra s ohnem”, E. F. Buriana: (J. Stalin: „Zagadnienia leninizmu”, „Historia partii komunistycznej”, Szpaczkowa: „Takim był”), Franciszka Halasa (A. Grim: „Karnawał w porcie”, Jerzy Kolarz: „Dny v roce”, A. Makarenko: „Zaczynamy żyć”), dra Waclawa Chaloupeckiego na pierwszym miejscu (T. Lehr - Spławski, Z. Wojciechowski: „Polska—Czechy”, dalej Jan Filip: „Starożytna Czechosłowacja), dra Jana Murawskiego (Vanezura: „Obrazy z dziejów czeskiego narodu”, Clementis: „Londyńskie notatki”, Lenin: „Filosofskie tetrady”, Jermilow: „Talent”), Marii Pujmanowej: (1) F. adiejew: „Młoda gwardia”, 2) P. Jilennickij: „Vitr se vraci”, 3) P. Werszigora: „Ludzie z czystym sumieniem”, 4) J. Andrzejewski: „Popiół i diament”), Waclawa Rzezacza (K. Gottwald: „Dziesięć lat”, A. Makarenko: „Zaczynamy żyć”, Vladimir Holan: „Krasnoarmiejcy”).

Dużą niespodzianką sprawił (nie tylko na Olimpiadzie) lekkoatleta por. Zatopek. Postawił on na pierwszym miejscu Bernarda Kramina „Politykę dla każdego”, następnie Kraminowa: „Drugi front” i Younghill Kang’a: „Darniowa strzecha”.

Oprócz Jerzego Andrzejewskiego, którego utwory („Popiół i diament” oraz „Noc”) chwali kilku uczestników ankiety, największym uznaniem wśród polskich autorów cieszy się Seweryna Smağlewska („Dym nad Birkenau”), którą wymieniają: Ilya Humnik, prof. dr. Radin Fouska i literat Edmund Konrad. Ponadto znajdujemy w tej ankiecie „Całe życie Sabiny” Boguszwskiej, „Kamienny świat” Borowskiego, „Teżę” Wasilewskiej, „Społeczny rodowód polskiej literatury” J. Fika, „Quo vadis” Sienkiewicza, „Dziady” Mickiewicza (w tłum. Halasa), „W rozwalonym domu” Dobraczyńskiego, „Wstęp do teorii marksizmu” A. Schaffa, „Społeczeństwo i wychowanie” Chałasińskiego oraz Kaz. Dziewońskiego: „Zasady przestępczego planowania inwestycji podstawowych”.

GDY przed kilkoma tygodniami omawiałem stan czasopiśmiennictwa poświęconego sprawom muzyki, pisałem podając sprawozdanie z treści zeszytu „Kwartalnika muzycznego”, iż nie wiadomo mi, czy nadal ukazuje się „Ruch Muzyczny”. Oto leży przede mną grudniowy zeszyt tego dwutygodnika, poświęconego zagadnieniom życia muzycznego w Polsce, a wydawanego nakładem Polskiego Towarzystwa Muzycznego.

Podwójny zeszyt dwutygodnika (Nr 23—24) rozpoczyna się krótkim wzewaniem Redakcji do wszystkich pracowników muzyki w Polsce — do kompozytorów i wykonawców, do młodzieży kształcącej się w szkołach muzycznych. Wzewanie to głosi konieczność okazania wszelkiej pomocy doniosłej sprawie upowszechnienia kultury muzycznej w Polsce, dopuszczenia „najszerszych mas społeczeństwa do udziału w dobrach kultury duchowej, związanych z świadomym przeżywaniem muzyki” czyli — mówiąc prostym stylem — do przygotowania słuchacza świadomego, inteligentnego znającego podstawowe prawdy o muzyce. To wzewanie nie jest czystym frazesem, bo jednocześnie redakcja „Ruchu Muzycznego” podaje, iż taka praca zbiorowa już się odbywa, że zarówno słuchacz szkół muzycznych, profesorowie jak i wykonawcy dokonają objazdów województwa krakowskiego, dając wiele koncertów pod hasłem „najlepsza muzyka w najlepszym wykonaniu”, co jak bardzo słusznie pisze redakcja „Ruchu Muzycznego” jest jedynym hasłem, „które powinno patronować takim imprezom”.

Następnie o „Formalizmie i realizmie w muzyce” prace teoretyczną zamieszcza Włodzimierz Sokorski, który wskazuje na konieczność dokonania śmiałej rewizji dorobku muzycznego ostatnich dziesięcioleci i nie zaprzeczając osłabieniom technicznym, „które są dziełem pierwszej połowy dwudziestego wieku”, zdali sobie sprawę, iż była to muzyka związana ze „schyłkowym etapem ginącego kapitalizmu”. Stąd jej formalizm — stwierdza Sokorski — jej pozorny choć celowo zamierzony przez twórcę izolacjonizm. Pozorny — dlatego, iż muzyka ta — pisze autor — „miała mimo stosowania formalistycznej metody kompozycji głęboko społeczne i socjologicznie uwarunkowane korzenie. Była po prostu twórczym odbiciem chaosu ginącego świata”. W końcowych zdaniach swojej pracy Sokorski po tych wywodach teoretycznych daje krótką pozytywną ocenę działalności współczesnych kompozytorów polskich, pisząc, iż jeśli nawet nie znaleźli oni rozwiązania „języka muzycznego nowej epoki”, to jednak znaleźli „drogę do tego rozwiązania”. Mowa tu o Woytowiczu, Panufniku, Lutóslawskim.

Sokorski wskazuje na historyczną konieczność zwrotu do klasycznych form w muzyce, do „tych prądów, które świadomie szły na zdobywie i zrozumienie najszerszych mas społecznych”. „Dlatego i dziś — pisze Sokorski — nie odrzucając zresztą technicznych zdobyczy muzycznych schyłkowego kapitalizmu, świadomie idziemy na przewyżczenie wewnętrznej postawy współczesnej mu-

zyki... nawiązując jednocześnie do wielkich rewolucyjnych duchów w rodzaju Chopina, Mussorgskiego czy Beethovena”.

Mimo, iż te trzy wielkie nazwiska reprezentują dość niejednorodną treść w historii muzyki XIX wieku, orientujemy się, iż chodzi tu po prostu o zwrot ku muzyce rewolucyjnej w owej epoce ustalone kryteria estetyczne. „Niejednokrotnie twórcy byli za swego życia — pisze gdzieś Sokorski — zwalczani przez możnych tego świata, którzy historycznie należeli do warstw odchodzących. I stąd ich późniejsze zwycięstwo było zwycięstwem tej epoki, która instynktownie trafnie reprezentowali”. Rzecz prosta chodzi tu o to, że Chopin (mimo, iż był ulubieńcem arystokratycznych salonów paryskich i odmówił ostro, gdy mu radono, by pisał operę narodową), podobnie jak Beethoven (pozostający zresztą pod mecenatem utytułowanych amatorów muzyki, jak o tym świadczą liczne dedykacje na jego dziełach) rewolucjonizowali muzykę w swojej epoce, że nie przyjmowali istniejącego kanonu estetycznego, będącego kanonem ustalonym przez panującą warstwę mieszczaństwa. Jeśli dobrze rozumiem, o to właśnie chodzi autorowi „Formalizmu i realizmu w muzyce”, który jednocześnie tak ocenia konflikt między twórcą a klasą rewolucyjną: „Kiedy... twórcy są krytykowanymi i zwalczani przez klasę rewolucyjną, przez własny rodzaj się w ogniu ciężkiej klasowej walki naród, naród epoki socjalistycznej jest to zamieniamy tragicznym konfliktem twórcy i społeczeństwa, tragicznej rozbieżności twórczej fantazji i twórczego życia”. Z wywodów Sokorskiego wynika więc, iż konflikt między rewolucyjnym twórcą a panującą klasą społeczna owocny bywa jedynie wtedy, gdy owa klasa społeczna panuje dla zaspokojenia własnych, egoistycznych potrzeb i interesów. Twórca dopuszczający do konfliktu między swoją twórczością a klasą, która przejęła hegemonię w celu ostatecznego zlikwidowania podziału klasowego i wyzysku społecznego, przestaje być twórcą rewolucyjnym, zaś jego konflikt ze społeczeństwem rewolucyjnym — choć subiektywnie tragiczny, obiektywnie staje się jałowy. Sądzę, iż udało mi się mniej więcej dokładnie zreferować przedmiot myśli pracy Włodzimierza Sokorskiego „Formalizm i realizm w muzyce”.

Pozatem „Ruch Muzyczny” przynosi bardzo obfite materiały sprawozdawcze, kalendarz, recenzje, przegląd prasy oraz kalendarz, podający zwięzły zarys historii muzyki według dat. Należy życzyć temu pożytecznemu piśmie, by ukazywało się co dwa tygodnie i by drukowało więcej prac dyskusyjnych, mniej raczej może dotyczących spraw techniczno-historycznych, czym zajmują się przecież „Kwartalnik Muzyczny”, więcej zaś wypowiedzi na tematy związane z praktyką życia muzycznego, z jego organizacją, by zamieszczało opinie i myśli wszystkich wybitnych muzykologów, kompozytorów i odtwórców muzyki, którzy narówni z pracami teoretyków winni dać bogaty i różnorodny obraz sytuacji muzyki w Polsce.

ph.

Za co zyskałem wdzięczność p. Green'a?

W naukowej literaturze oraz publicystyce angielskiej poświęcenie uwagi naszym wydawnictwom niewątpliwie nie należy do częstych zjawisk. Spisek milczenia istnieje dotychczas wokół naszych osiągnięć gospodarczych, społecznych i kulturalnych. Wyciągając bowiem pisma postępowe, czasopiśmiennictwo zachodnie bacznie strzeże tego, by do świadomości jego czytelników nie przeniknęły informacje o tym, jak bez oddania się w czyjakolwiek niewolę i z pomocą tylko tych, co szanują naszą suwerenność potrafimy walki o sprawiedliwość społeczną, moralność i pokój w świecie. I pozornie tylko zdziwno, bo jak gdyby stanowiącą odstępstwo od tej zasady, musi wydać się dość obszerna i na ogół pozytywna recenzja, zamieszczona ostatnio w czołowym organie brytyjskich ośrodków politycznych i prawniczych o jednej z moich prac na temat roli prawa polskiego w służbie pokoju.*

Recenzent, p. Green wyraża mi swoją wdzięczność za ujawnienie pobudek, którymi kieruje się współczesna polska myśl prawnicza, oraz celów, do których zmierza. Jedynym zarzutem, który mi czyni, jest to, że posługuję się terminem prawa, zamiast powiedzieć szczerze, że chodzi o politykę.

Recenzja p. Greena nie zasługiwałaby oczywiście na uwagę, gdyby nie była właśnie doskonałą ilustracją owego stanowiska, odmiawiającego charakteru prawa takim założeniom, których uznanie mogłoby służyć nie dopuszczeniu do nowej agresji i nieodłącznych jej zbrodni oraz utrwaleniu pokoju.

Szczególnie głęboka jest wdzięczność p. Greena za moje stwierdzenie, że najistotniejszym sensem współczesnego międzynarodowego prawa karnego jest nie tyle karalność

sprawców minionej zbrodni wojny agresywnej i wszelkich zbrodni na jej tle zbrodni wojennych oraz przeciw ludzkości, karalność, która przeciw małą już tylko może przynieść kompensatę zamęczonym ofiarom, ile jego znaczenie prewencyjne, zapobieżenie na przyszłość faszystowskiemu źródłu tych zbrodni. Wymiar sprawiedliwości w stosunku do zbrodniarzy wojennych pojęty jako środek walki o demokrację i pokój, może być według p. Greena tylko wyrazem polityki a nie prawa. A że chodzi przy tym o tego rodzaju politykę, która godzi w interes podlegających do nowej wojny, p. Green odrzuca ją wręcz jako pozbawioną przesłanek prawnych, jako niedopuszczalny akt pozaprawny.

W obronie faszystów i dla zapewnienia jego najbardziej nawet przestępczym szermierzom bezkarności posuwa się p. Green tak daleko, że kwestionuje nawet pogląd, zgodnie z którym zbrodnice hitlerowska przyjęła tak szczególnie barbarzyńskie formy, iż wymagała nadzwyczajnych form postępowania sądowego. Ukaranie tej zbrodniczości na mocy ustaw formalnie zresztą tylko uchwalonych ex post, ale — w interpretacji p. Greena — wbrew zasadzie, że nie ma przestępstwa, o ile nie było ono uprzednio zakazane prawem w chwili jego popełnienia — ukaranie — sądzić faszystowskich zbrodniarzy, skoro czyn ich nie stanowiły przestępstwa w świetle „prawa” faszystowskiego.

Pomijamy kasuistyczne zagadnienie, czy zbrodnie hitlerowskie dopuszczalne były nawet w myśl przepisów najbardziej chociażby burżuazyjnych i ultrakapitalistycznych, — jeżeli tylko nie wyraźnie faszystowskich — kodeksów karnych jeszcze na długo przed powstaniem Międzynarodowego Trybunału Wojskowego. Ustalił to w sposób całkiem niewątpliwym zarówno w swoich statucie jak w wyroku sąd w Norymberdze. Ale co najmniej charakterystyczne wydaje się nam, że w półurzędowym organie tak zwanej Partii Pracy, którego naczelnym redaktorem jest

lord, Chóś... znana osobistość tej partii, ukazał się w wód negatywnie kwalifikujący określona koncepcję, broniącą pokoju — tylko dlatego, że jest socjalistyczna. A przecież jest ona zarazem najbardziej i najpowszechniej ludzka, bo domaga się wyjęcia spod prawa ludzkiej ideologii faszystów i potępienia — na mocy zasad przyjętych przez wszystkie cywilizowane narody — zbrodni z niej zrodzonych.

Ale wiemy już, że przeciw tym zasadom wystąpił w Izbie Lordów w maju 1948 r. labourystowski kanclerz sprawiedliwości wicehrabia Jowitt, podzielał poglądy tych, co uważają, że czas już nadszedł, by kres położyć karalności zbrodni popełnionych w związku z wojną, w toku jej trwania, lub przed jej wybuchem. Pamiętajmy również, że w debacie nad mową tronową w październiku 1948 r. — do zapomnienia o okrucieństwach hitlerowskich — w imię przyspieszenia budowy anglosaskiej bazy wojennej w zachodnich Niemczech — wzywał Churchill. Znane nam są także pseudonaukowe wywody amerykańskich profesorów prawa i socjologii, Fincha, Schicka, Stowella, Coale'a i wielu innych, którzy w swej pracy nad ideologicznym przygotowaniem nowej agresji i wyrwaniem strachu z serca tych, których przeraziły szubienice norymberskie, otwarcie głoszą, że wojna agresywna nie jest zbrodnia, że można ją więc bezkarnie nadal organizować.

Do nich to zresztą nawiązał ostatnio profesor uniwersytetu londyńskiego i dyrektor brytyjskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych Schwarzenberger, pisząc, że wojna agresywna może stanowić tylko nie podlegającą za sobą skutków karnych naruszenia zobowiązań międzynarodowych, ale nie karalną zbrodnię.

To samo stanowisko zajmuje też — jak widać — p. Green, od którego trudno zresztą byłoby oczekiwać potępienia wojny. Trudno natomiast uwierzyć, by dla p. Greena miało być rewelacją, że tego stanowiska nie podzielała prawnicy polscy. O tym zaś, że to zajmowane przez nich rewelacyjne stanowisko nie jest wyłącznie polskie, mógł się p. Green przekonać we własnej ojczyźnie i w innych krajach Zachodu, odgradzanych przez swoje rządy żelazną kurtyną od krajów demokracji ludowej, po to, żeby nie przenikła na Zachód prawda o demokracjach ludowych, o ich osiągnięciach i woli pokoju. Tak niedawno przecież robotnicy angielscy wygizdali labourystowskiego ministra wojny, wywołującego ich do ochotniczej służby wojskowej.

Nie nam więc powinien być wdzięczny p. Green za ujawnienie tego, co dziś znane jest milionom ludzi na całym świecie: że nie nie może zachwacać mocy obowiązującej broniącej za nich prawa da życia w pokoju. To my raczej powinniśmy być wdzięczni p. Greenowi, że odrzucając jakkolwiek maskowanie się, oświadczył wyraźnie, iż jego zdaniem

a) prawem jest tylko taki porządek, który broni faszystów i winnych zbrodni wojennych oraz zbrodni przeciw ludzkości i pokojowi.

b) polityką sprzeczną z prawem jest natomiast każdy system, w którym broni się zasad pokojowej współpracy międzynarodowej, a represji karnej poddaje się uczestników spisku przeciw pokojowi i sprawców związanych z nim zbrodni.

Ale p. Green wyraził nam wdzięczność nie tylko za ujawnienie istoty naszego prawa, jako jednego z środków walki o praworządność w stosunkach międzynarodowych. Jest on również ośniony stwierdzeniem, że państwo jest narzędziem przymusu klasowego, zbrodnia natomiast jest prześladowanie człowieka za jego przynależność rasową, pochodzenie narodowe lub wyznanie, prześladowanie, które nie może nie pozostawać w sprzeczności z zasadami obowiązującymi wszystkie cywilizowane społeczeństwa. Pan Green przypuszcza zapewne, iż jego czytelnicy są tak naiwni, że można im zasugerować, iż brytyjska machina państwowa w jednakowy sposób broni interesów wszystkich klas. Pan Green chciałby chyba także wzmówić swym angielskim czytelnikom, że karalność dyskryminacji rasowych czy narodowościowych musi być pozbawiona sensu prawnego, inaczej databy wszak Mahajcykom lub Hindusom podstawy do legalnego uzasadnienia aspiracji, za próbę zrealizowania których dziś właśnie w majestacie prawa można tym „niższej rasy” narodom dać pogładową lekce równości i moralności przy pomocy ołowiu, czołgów i lotnictwa.

Kwitując więc podziękowanie p. Greena za prawdę o nas powiedzianą, niech nam jednak wolno będzie stwierdzić, że nie stać go na równą szczerść. Wprawdzie przyznaje on, jak to wskazaliśmy, że nie może uważać za prawo orzeczeń, które przecza temu, by wojna, jak twierdził Goebbels, była czymś innym niż wyrazem żywiołowego i naturalnego pedu duszy ludzkiej. Ale trudno mu ujawnić dalsze konsekwencje: że mianowicie państwo kapitalistyczne jest m.in. taką właśnie klasową organizacją, której celem jest w tym „naturalnym żywiole” wojny krwawo plwić co pewien czas masy ludowe.

Nie wątpimy jednak, że to, o czym tak trudno jest szczerze pisać panom Greenom, wbrew ich woli trafia coraz bardziej do świadomości tych, którzy są dość silni, by móc obronić zasady pokojowego współżycia narodów przed każdym zamachem — także ze strony tych, których pióro nie załamuje się pod słowami niosącymi pochwałę zbrodni.

Marian Muszkat

* L. C. Green: Le droit polonais au service de la paix dans la lutte contre les criminels de guerre, by M. Muszkat and others — The Modern Law Review, Vol. 11 No 4 October, str. 504.

Mam tu przyjaciół...

Dziwna i wysoce niemoralna jest atmosfera sensacji, jaką prasa amerykańska otacza byłych dygnitarzy hitlerowskich...



który dopiero co osiedlił się w Nowym Jorku, otrzymawszy wizę na pobyt stałą za oficjalną zgodą konsula amerykańskiego w Mochium.

Mam tu — oświadczył prasie von Wenckstern — wielu przyjaciół, którzy zainteresowali w mojej sprawie.

Odmówił jednak podania nazwisk tych osób. Zainteresowany w tej sprawie Departament Stanu ograniczył się do wypowiedzi, że chodzi tu o osoby, które łatwo dało się ułóżać i które zajmują wybitne stanowiska.

Teraz rozumiemy, dlaczego interwencje w sprawie rozmaitych junkrów i byłych generałów SS bywają w Ameryce tak skuteczne.

Goląbek pokoju

„Jeżeli braterstwo chrześcijańskie nie zastąpi miejsca nienawiści i namiętności, daremne są nasze myśli, że pokój jest możliwy.”

„Ostatecznym czynnikiem, który uważam za niezbędny do osiągnięcia trwałego pokoju, jest miłość powszechna i objęcie narodów przez chrześcijaństwo.”



„Jeżeli brak skrupułów moralnych, który zauważamy obecnie na świecie, będzie trwał nadal w połączeniu z pogardą wobec godności, wobec wolności oraz najbardziej elementarnych zasad miłości i braterstwa chrześcijańskiego, jeżeli sumieniu katolickiemu nie przywrócimy jego duchowej natury, świat połoczy się ku wojnie.”

Kto to mówi? Jaki biskup? Jaki kardynał? Jaki kaznodzieja? Jak pryorok?

To tylko generał Francisco Franco, wojskowy dyktator Hiszpanii. Te wzruszające wyznaczenia są wyjątkami z jego artykułu, specjalnie napisanego dla amerykańskiej Agencji I.N.S.

Zaiste, straszny jest obraz zepsucia chrześcijaństwa, skoro sumieniu katolickiemu na gwałt trzeba przywracać jego „duchową naturę”, której posiadaniem szczyciło się od wielu wieków. Nie mamy nic przeciwko temu, aby ją przywrócono, skoro sumienie katolickie dopiero wtedy pojmie doniosłość trwałego pokoju.

I. m.

Wszechstronny katechizm

Każdy kraj ma swój katechizm, a tu i ówdzie ma go nawet każda diecezja. Diecezja barcelońska w Hiszpanii posługuje się katechizmem jezuitów z nazwiskiem Ripalda. I tak się ten katechizm nazywa: „Nuevo Ripalda”, ponieważ jest na nowo opracowany i w swej „decimoseptima edición” zawiera dane na temat błędów współczesnych.

Tych błędów, potępionych przez Kościół, jest wiele: materializm, darwinizm, ateizm, panteizm, deizm, racjonalizm, protestantyzm, socjalizm, komunizm, syndykalizm, masoneria, a nawet biedaczyna liberalizm.

Ha, poczytajmy trochę Nowego Ripalda, aby się oświecić. Rzecz rozczłonkowana jest na rozdziały, spośród których wybieramy tylko najciekawsze. Rzecz opracowana jest katechizmowo w formie pytań i odpowiedzi. Poczytajmy:

O materializmie i darwinizmie

Pyt.: Co to jest materializm?

Odp.: System, który zaprzecza istnieniu Boga i duszy ludzkiej, a uznaje tylko materię.



Pyt.: Czego uczy darwinizm?

Odp.: Że zwierzęta wyższego rzędu pochodzą od zwierząt niższego rzędu, a w szczególności, że człowiek pochodzi od małpy.

Pyt.: Co możesz powiedzieć o darwinizmie?

Odp.: Że to system śmieszny i niedorzeczny.

O socjalizmie

Pyt.: Co głoszą socjaliści?

Odp.: Że państwo może rozporządzać będącym źródłem bogactwa własnością prywatną i rozdzielać ją pomiędzy robotników tak jak uzna za stosowne.

Pyt.: Co możesz mi powiedzieć o socjalizmie?

Odp.: Że to system niedorzeczny, a nade wszystko niesprawiedliwy.

Pyt.: Dlaczego?

Odp.: Ponieważ gwałci własność prywatną, która jest świętością i ponieważ niesprawiedliwie rozporządza się tym, co do niego nie należy.



O syndykalizmie

Pyt.: Na czym polega syndykalizm?

Odp.: Na jednoci klas robotniczych celem zniszczenia społeczeństwa, celem rozdzielenia własności prywatnej między robotników i celem obrony ich rzekomych praw.

Pyt.: Dlaczego syndykalizm jest tak zgubny i tak brutalny?

Odp.: Ponieważ nie szanuje ani prawa ani moralności i jako metodę głosi rewolucję, ruinę społeczeństwa i powszechny rozdział bogactw.

O państwie świeckim

Pyt.: Czy państwo powinno być świeckie?

Odp.: Żadną miarą. Wręcz przeciwnie, państwo powinno wyznawać religię katolicką, która jest prawdą jedyną.



Pyt.: Czy państwo powinno być świeckie?

Odp.: Żadną miarą. Wręcz przeciwnie, państwo powinno wyznawać religię katolicką, która jest prawdą jedyną.

O liberalizmie rozważanym z punktu widzenia dogmatów

Pyt.: Ile stopni różniamy w liberalizmie?

Odp.: Trzy zasadnicze.

Pyt.: Co naucza pierwszy z nich?

Odp.: Że Kościół winien być podporządkowany państwu.

Pyt.: A drugi?

Odp.: Że dwie władze: Kościoła i państwa, są sobie równe i od siebie niezależne.

Pyt.: A trzecia zasada?

Odp.: Że Kościół stoi niżej od państwa i winien zezwalać na wszystkie swobody, które głosi liberalizm.

Pyt.: Czy Kościół potępił te wszystkie błędy?

Odp.: Tak, ojciec duchowny, szczególnie w encyklice „Quanta cura” i w „Syllabusie”.

Pyt.: Czego naucza pod tym względem nauka katolicka?

Odp.: Że państwo powinno być podporządkowane Kościołowi, tak jak ciało duszy, a doczesność wieczności.

Inne kłamliwe swobody liberalizmu

Pyt.: Co to jest wolność druku?

Odp.: To wolność drukowania i publikowania bez uprzedniej cenzury wszelkiego rodzaju zdań, jakkolwiek by były niedorzeczne i demoralizujące.

Pyt.: Czy rząd powinien hamować tę wolność za pomocą uprzedniej cenzury?

Odp.: Oczywiście, że tak.

Pyt.: Czy są inne jeszcze zgubne swobody?

Odp.: Tak. Jest to swoboda nauczania, swoboda propagandy i swoboda stowarzyszeń.

Pyt.: Dlaczego swobody te są zgubne?

Pyt.: Ponieważ służą rozszerzeniu błędów i zepsucia i prowadzeniu ukrytej walki z Kościołem.



Pyt.: Czy Kościół zezwala na te swobody?

Odp.: Nie, zostały one kilkakrotnie potępione.

Liberalizm z punktu widzenia moralności

Pyt.: Jaki grzech popełnia liberalizm?

Odp.: Jeden z najcięższych grzechów przeciwko wierze.

Pyt.: Dlaczego?

Odp.: Ponieważ jest zbiorem herezji i błędów potępionych przez Kościół.

Pyt.: Czy katolicy mogą uznać w całości lub w części liberalizm, grupujący tak zwanych „katolików liberalnych”?

Odp.: Nie, ponieważ katolicy nie mogą ani w całości ani w części uznać tego, co potępił Kościół.

Szkola świecka i szkoła jednolita

Pyt.: Co oznacza szkoła jednolita?

Odp.: Oznacza kierowaną przez państwo wspólną organizację ośrodków nauczania, bezpłatnych, mieszanych, a zwłaszcza świeckich i obowiązujących wszystkich obywateli.

Pyt.: Co w tym jest śmieszne? I niedorzeczne?

Odp.: To, że ofiarowuje wszystkim rodzinom utrzymywanie przez te rodziny szkoły bez liczenia się z ich możliwościami pieniężnymi.

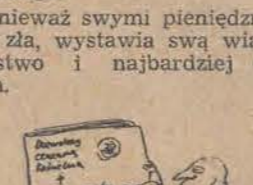


Pyt.: Czy ten, kto abonuje periodyki liberalne, grzeszy ciężko?

Odp.: Tak.

Pyt.: Dlaczego?

Odp.: Ponieważ swymi pieniędzmi przyczynia się do zła, wystawia swą wiarę na niebezpieczeństwo i najbardziej służy złym przykładem.



Pyt.: W jaki sposób można rozpoznać periodyki liberalne?

Odp.: Według zasad następujących: 1) Czy uważają się same za liberalne?

2) Czy bronią wolności sumienia, wyznań religijnych, druku i któregoś z innych błędów liberalnych?

3) Czy komentują wiadomości lub oceniają osoby według kryteriów liberalnych?

4) Czy przyznają bez zastrzeżeń przyniomy umysłowe lub moralne osobom lub partiom liberalnym?

Uwaga: — Najpewniejszą metodą dowiedzenia się, czy dany periodyk należy lub nie należy do pism liberalnych, jest sprawdzenie, czy posiada on znak cenzury kościelnej.

Pyt.: Jaki w tych warunkach jest najlepszy środek zaradczy, aby się nie dać oszukać?

Odp.: Nie czytać żadnego periodyku bez uprzedniej zgody spowiednika.

Ja: Chyba dość. Nie warto pisać satyry, skoro satyra zawarta jest w każdym zacytowanym zdaniu.

I. m.

Pitigrilli nawrócony

Wielu jest pisarzy, których konwersja religijna czyni zaszczyt Kościołowi. Poczynając od Augustyna, na wielkich pisarzach katolickich Francji kończąc, był to początek nawróconych, którzy piórem służyli sprawie katolicyzmu. Niewierzący potrafili jednak doskonale odróżnić dwa nurtu katolicyzmu, szczególnie widoczne w ostatnich dziesiętnościach XIX i pierwszych czterech dekadach XX stulecia. W praktyce niewierzący oceniali pisarza katolickiego nie według jego zgodności z dogmatyką, ale według tego, jaki jest jego stosunek do dzieła postępu społecznego, które według opinii niewierzących nienajmniej miało wpływ na formowanie się pierwszych pojęć chrześcijańskich. Ale mniejsza o to. Ważne jest, że nie często się zdarza, iż w roli pisarza-konwertyty występuje pisarz-pornograf. Waham się nawet, czy można użyć w stosunku do Pitigrillogo określenia pisarz. Czy autor „Osiemnastu karatów dziewictwa”, „Pasa smoty” etc. jest w ogóle pisarzem? Z artykułu wstępnego w nr 1 „Dziś i jutro” okazuje się, że jest nie tylko pisarzem, ale w dodatku „pisarzem ateistycznym”. Oto co pisze Redakcja „Dziś i Jutro” w wstępie do artykułu D. Mondrone, S. I. „U sadzawki Siloe”. Z artykułu D. Mondrone, S. I. okazuje się, że Pitigrilli w ogóle miał skłonność do badań rzeczy nadprzyrodzonych — wirujących stolików, indyjskiej magii. I oto czytamy w katolickim tygodniku społecznym, wydawanym w Warszawie, w Roku Pańskim 1949 następujące słowa D. Mondrone, S. I. przetłumaczone pilnie przez współpracowników „Dziś i Jutro”. „Bóg, aby przyciągnąć do siebie dusze, wie jak zużytkować wszystko, nawet grzech dla swoich celów zbawienia... aby uratować Pitigrillogo zużytkował On także jakieś zabranie spłitystyczne...” Pitigrilli nawrócił się i napisał o tym książkę: „Sadzawka Siloe”. Nie znam tej sadzawki. Być może jest ona jak fontanna Trevi w Rzymie, gdzie wrzuca się w wodę srebrne grosze. Ale niepewnie jest to sadzawka w której stoi zieleno, cuchnąca woda oskurantyzmu, w której „ateistyczny” pisarz Pitigrilli zamierza fowić zyski materialne, zaś D. Mondrone, S. I. krzyżki moralno-propagandowe. Cóż może jednak złowić w tej wodzie Redakcja „Dziś i Jutro”?

Kand.

Ten Witz nie przejdzie...

W ostatnim numerze Odrodzenia na ostatniej stronie tuż koło „Camera obscura” pod jednym z rysunków Ignacego Witza umiesz-



czono podpis: Ilustracja do „Bajek uzbeckich” Gogola.

Ten Witz nie przejdzie „Bajki uzbeckie” napisała bowiem i opracowała Eleonora Stobodnikowa.

sp.

OD REDAKCJI

Wymieniony w artykule „Zjazd Pisarzy Ukraińskich w nr 2 „Kuźnicy”, krytyk literacki i pisarz Stefan Tudor zginął wraz z Aleksandrem Hawrylukiem dnia 22 lipca 1941 r. w Lwowie. Aleksander Hawryluk, pisarz pochodzenia chłopskiego, długoletni więzień Berezy napisał książkę nie „Brzoza” jak to mylnie w artykule podano lecz „Bereza”.

KSIAZKI NADESŁANE

Wacław Gąsiorowski: Rok 1809. Powieść z dziejów Księstwa Warszawskiego. Wyd. VI. Nakł. T. Jamiołkowski i T. J. Evert, Sp. z o. o., Łódź 1948 tom I — str. 337, tom II — str. 271. Howard Fast: Amerykanin. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 355. Eliza Orzeszkowa: Bene nati. Powieść wiejska. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 219. Prosper Mérimée: Carmen. Czysta dusza — Tamango — Kolomba. Przekł. Tadeusza Zelenieckiego (Boya). Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 241. Benjamin Constant: Adolf. Przekł. Tadeusza Zelenieckiego (Boya). Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 142. Jean Henri Fabre: Dziwy instynktu owadów i pszczoł. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 454 + 1 tablica. Helena Boguszewska: Polonez. Powieść. IV — Święconna krew. Wyd. II. Nakł. Spółdz. Wydawniczo „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 453. Jean Casson: Paryż we krwi. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 303. Karol Irzykowski: Paluba. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 331. Eliza Orzeszkowa: Cham. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 283. Eliza Orzeszkowa: Dziurkowiec. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 274.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy” Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik” Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 18. Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 204-75. CENA OGŁOSZENIA: Za 1 mm na 1 szpaltę 40 złotych. WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.— Należność za prenumeratę należy wpłacać do PKO konto VII-567 „Prenumerata Kuźnicy” Drukarnia Nr 4 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Zwirki 2 D-03245